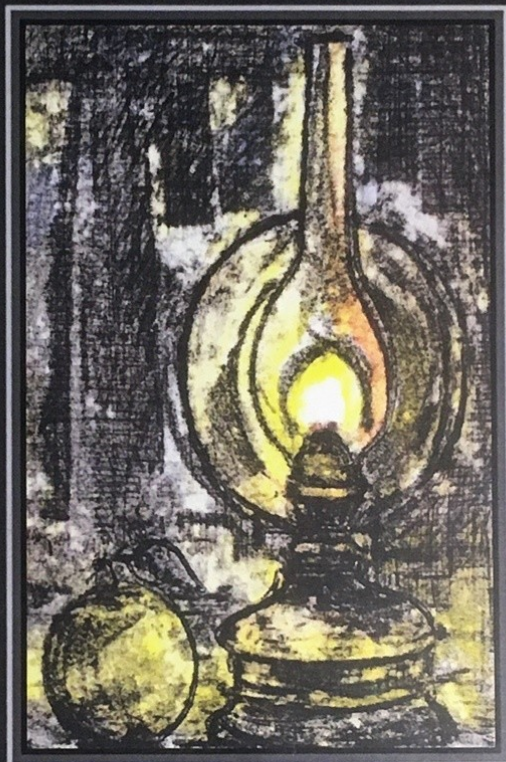


Ryszard  
Sziler



KSIĘGI  
ZAMYŚLEŃ

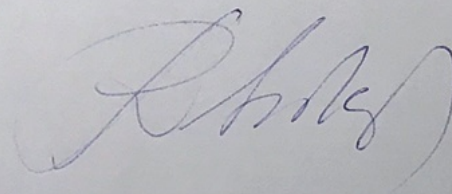
Miniatura



Ryszard Sziler

KSIEGI ZAMYŚLEŃ

(wybór)



Miniatura

Z KSIĘGI  
SPRAW NAJWAŻNIEJSZYCH

### Hymn stworzenia

Panie, który stworzyłeś arcydzieło dmuchawca,  
Pióro ptaka i moje oko,

Który nakazałeś wędrować kretowi po moim ogrodzie,  
By burzył mój śmieszny porządek,

Który gwałtownością wiatru rozczesujesz trawy,  
Motyla dźwigasz, i koronę dębu,

Który uśmiechasz się obłokiem w stawie,  
Przy palacu i chlewie,

Który zachwycasz mnie delikatnością  
Kwitnącej łąki, śpiewem zięby i wspomnieniem jaskółki,

Który mówisz mi „dzień dobry” przez wszystko,  
Co mnie otacza.

Bądź pochwalony.

### Chrześcijanie

W pyle drogi  
W pokrzykiwaniach ludzi  
W ryku osłów  
Szedł Bóg

Całkiem sam

Tylko Matka  
Obejmowała Go  
Bez końca wzrokiem

Tylko paru uczniów  
Myślą podtrzymywało  
Niepewnie Jego ból.

Cierpliwie niósł Bóg  
Człowieczeństwo  
Swoją wielką miłość  
Za którą musiał umrzeć.

Usłudnie podawano  
Oprawcom  
Gwoździe śmiechu  
Gąbkę z ironią  
Włócznię pogardy

A potem już nikogo  
Nie było  
Kiedy zdejmowano  
Ciało  
Syna Człowieczego  
Wszyscy prawie mieli  
Ważniejsze sprawy

Nikt nie zatrzymuje się  
Przecież nad tym  
Co bezpowrotnie minęło

Któż mógł przewidzieć  
Względność tego  
Co dotąd  
Zawsze było  
Nieodmienne

A jednak  
Wtedy  
Raz jeden  
W dziejach  
Wydarzyło się  
Coś  
Co zaprzeczyło  
Wszystkiemu  
Dotychczasowemu

I z tego  
Zaprzeczenia  
My jesteśmy.

Fragment niewygłoszonego kazania św. Franciszka ✓

*A* jest piękno,  
Które mieszka w nas.  
Z niego zachwyty  
I biel brzoź  
I łąk zapach  
I aksamity westchnień.

Zdarza się nam rozumieć  
Żeśmy bliscy  
Nucie sikorki  
Szelestowi wodospadu  
To jest – co określamy  
Zachwytem dziękczynienia  
Którego się głęboko wstydzimy.

Bo boimy się siebie.  
Uciekamy ciągle  
Między przepaściami znaczeń:  
Lubię, bardzo lubię, kocham,  
Nie lubię, nie chcę, gardzę...  
Łudząc się, że to jest to  
Czego chwytają się łapki  
Utrudzonych ptaków.

A jednak dom nasz  
Uczepiony nieba  
Jak jaskółcze gniazdo  
Wiernie czeka  
Na swojego ptaka  
O zbyt ciężkim sercu.

## Litania

Pani nasza,  
Marzenie nasze wniebowstąpione.

Matko poetów i dziadów przydrożnych,  
Którzy bywali na naszych szlakach  
I których lzy nie potrafiły zrzeźbić naszej duszy,  
Bośmy odporni na dluto wielkości,  
A zapominamy się w smakach, zapachach i gestach  
I zabawnościach naszych.

Wyproś nam wreszcie przejrzenie.

Matko naszych kielkujących pragnień,  
Którym tak bardzo dokuczyla zima,  
Pani naszych szeptanych pacierzy,  
Co jak skrzek żabi wędrują w niepewność...

Od wielkości naszej zachowaj nas Pani.

Za nieskromności nasze,  
Za zaprzędania nasze,  
Za zapomnienia nasze,  
Za zaplątania nasze...

Wymódl nam odpuszczenie.

Matko opuszczonych sadów,  
Pani łąk, które będą kosić,  
Pani pól, pełnych blawatów  
Które kochamy, chociaż przeszkadzają zbożu,  
Matko zbędnych nam istnień,  
Które w kwiecie i w kłosie żyją,  
Pani perlistego śmiechu rosy  
I oczekiwania dmuchawców.

Naucz nas widzieć to, po czym stąpamy.  
Orędowniczko nasza,  
Słów naszych mierzwy racz wysłuchać,  
W kołysce wartości swoich nas ukołysz  
Bośmy dzieciństwa spragnieni i Słowa.

Daj właściwy żagiel i natchnienie  
Naszym tułaczym snom,  
Bo się rozbijamy o siebie samych  
W mrokach naszego rozumu  
I błogosław niepewnym gołębiom  
Naszyc uśmiechów,  
Które uwalniamy, by powróciły  
Chociaż z gałązką serca.

Ciebie prosimy uspokój nas Pani.

Madonna

W niedoschniętej narzutce z błękitu  
wybiegła przed światła kaczęćców  
żeby pochylić się  
nad przeziębionym skowronkiem  
mojego serca

i teraz mogę już śpiewać.

Pani z Komorowa ✓

Panno z kościoła w girlandach  
Kwiatów, modlitw i uśmiechów  
Do Ciebie się uciekamy  
Pani Komorowa i Kolbuszowej  
Matko Miłosierdzia  
Taka sama w każdej Ostrej Bramie  
Naszego serca  
Nieodmiennie wypatrująca  
Naszych powrotów  
Uśmiechająca się do wiatru  
Który przynosi nasze westchnienia  
Panno Święta, co nas bronisz  
Od nas samych  
Do Ciebie się uciekamy

Matko Wandy Dwornickiej  
I księdza Andrzeja  
I moja I tak wielu innych  
Czy to, że długo gościłem Ciebie  
W moim domu zmieniło cośkolwiek?  
Czy jestem lepszy?  
Czy płaczesz nade mną  
Jak zawsze?  
Bo ciągle jeszcze nie to  
Bo ciągle jeszcze nie tak  
Czy wyglądasz mojego powrotu?  
Mnie, tamtego ministranta  
Z ujeźniańskiego kościółka  
Który teraz już pusty  
I prawie w ruinie...  
A może jednak tamto światło  
Dawnych rezurekji nadal  
Pali się we mnie?  
Może go nie zagasiłem do końca?  
Tak sobie myślę, kiedy zanurzam się  
W słowa różańca



W przypomnienia majówek  
Spod przydrożnego krzyża  
W nieokreślone pragnienia  
Których doświadczam

Mateńko  
W ornamentach naszych uśmiechów  
W ramach naszych  
Złożonych do modlitwy dłoni  
W słonecznej koronie  
Zapewnień naszych  
Z księżycem naszych prośb  
Pod stopami  
Przed którą zapalamy  
Niepozorne lampki naszych myśli  
Módl się za nas i za nami  
Bo sami nie podołamy.

### Pytanie

Było pod wieczór i na pustej drodze  
spytał mnie Człowiek: czy wiesz dokąd idziesz?

Po prostu idę, tak jak nogi niosą  
cieszę się deszczem i wiatrem i rosą  
cieszę się słońcem i cieszę księżycem.  
Wszystkim się cieszę, co znajdę na drodze.

A więc nic nie masz – odwestchnął towarzysz  
bo to zbyt mało by nappełnić duszę  
Idziesz po siebie...  
Ja – rozdać się muszę...

/.../

Wiatr się rozszalał, deszcz rozlał po świecie  
wszak sami wiecie co się z światem działo...  
Odtąd wiem jedno, że tak iść przed siebie  
po to by tylko iść, to jest zbyt mało.

### Wdzięczność świata

W koronie z bólu  
w płaszczu z cierpienia  
ze straszliwym  
upokorzeniem  
na plecach  
wlecze się  
pośród drwin  
Ten  
który wszystko  
uczynił  
by nas  
uleczyć  
z samotności  
egoizmu

### Westchnienie do pieśni majowej

Mała dziewczynko z chrustem  
Nie chcę być jednym z tłumu  
Który potrącając Cię  
Zmusza do opuszczenia dzieciństwa  
A jednak  
Bez Twojego wstawiennictwa  
Nigdy naprawdę nie przekroczę  
Progu wiary

Nie potrafię

Proszę więc jak wszyscy tamci  
Pomóż  
Tak samo jak  
Moi bracia i siostry  
Szarpie Cię swoją prośbą  
Pomóż  
Nie uciekaj ode mnie  
Zagradzam Ci drogę  
Klękam  
Przed Twoją nieśmiałością  
Bezradnością i przerażeniem  
Błagam  
Bądź moją przewodniczką  
Idź  
Przed moim życiem  
Z lampą swojego „Ave”  
Prowadź  
Do Massabielle  
I dalej

Bardzo liczę na Ciebie  
Dziecko

Prośba

Matko  
Z tysięcy  
Poranionych obrazów

Pociętych  
Postrzelanych  
Podeptanych  
Oplutych

Uwielbiona

Pani  
Ze starych kościołów  
Maleńkich kapliczek  
Figurek odpustowych  
Złoty feretronów  
Śpiewów majowych

W nas  
Ukonkretniana

Panno  
Skromna  
Cierpiąca  
Czuła  
Zatroskana  
Zwyczajna  
A  
Można

Nasza codzienna  
Królowo

Przed którą  
W prochu  
Swojej małości  
Błazny i królowie

Uciezko nasza  
Pocieszycielko nasza

Krółuj nad nami  
Krółuj nad wiekami

Mamo.

Dziękuję

*Z*a świerszcze cykające  
W zegarze wieczoru  
Obłok zapachu macierzanki  
Potraconej nogą  
Za sople spływające z dachu  
Przez które widać gwiazdy  
Za tężowe skorupki ślimaków  
W czerwcowym ogrodzie  
Za biedronki porzeczek  
Fruwające w słońcu  
Za śnieg, który pada  
Wielkimi płatami  
W wigilijny wieczór  
Za modlitewnie wygięte gałęzie  
Buków przy Wetlińskiej  
Za żubrze grzbiety polonin  
Parujące w słońcu  
Za wiatr niosący zapach  
Poranka znad stoku

Za to, że mogę czuć  
Widzieć i słyszeć  
Że jesteś.

Dziękuję

Z KSIĘGI  
WYPOMINKÓW HISTORYCZNYCH

Do końca życia zostanie mi w oczach tamta jesień ze wzgórza na skraju parku. Złote od słońca listki kruszyny, buki w czerwonych liściach i beże obficie rozestanych traw, poddające się pieszczocie wiatru zagląającego tu od pół. A pola były w niebieskawych szarościach pajęczyn i ogniskowych dymów, w zapachu, których dominował aromat fermentujących jabłek opadłych wprost w piasek drogi i rozgniatanych kołami wozów.

Na tym wzgórku wśród samotnych leniwych zamyśleń spędziłem najpiękniejszy czas październikowych popołudni zaraz po skończonych lekcjach i obiedzie, a jeszcze przed wieczornym niepokojem o jutro, szczególnie o lekcje matematyki.

Jeszcze drzewa przed internatem stały ciche, tylko w poszumie liści, bo gawrony i towarzyszące im kawki żerowały na polach i ścigały dopiero o zmroku. Jeszcze nikt nie dokuczał też pytaniami o odrobione zadania i osiągnięte dziś wyniki.

Można było wtopić się w syty a lekki świat jesieni i kołysać się w wietrze wraz ze swymi braćmi drzewami, trawami i słońcem.

Takiego dobrodziejstwa wewnętrznego spokoju jak tam, nie doświadczyłem już nigdy potem. No może czasem w rozbłyskach, ale nigdy w takim bezmiarze i tak cyklicznie.

Miejsce oprócz odosobnienia miało perspektywę widokową na przeszłość. W ogóle wówczas sporo było właśnie tej perspektywy w schizofrenicznej rzeczywistości socjalizmu. Z jednej strony ów socjalizm właśnie, którego nie zamierzam tu opisywać, a z drugiej obfitość śladów przeszłości, ani jeszcze nie zatartych, ani nieprzetworzonych, ale już wyraźnie martwych, nieobecnych w teraźniejszości.

Tę perspektywę ukierunkowaną na czas miniony reprezentowały tu z jednej strony pomarańczowe ściany niedawnego pałacu a dzisiaj mojej szkoły, z drugiej wysoki brzeg lessowego wąwozu, w którego osuwisku widać było tabaczkowe smugi brązu a resztkami rozsypujących się w palcach desek i jaśniejszymi kośćmi.

Pałacyk Kellermana przebiegał przez resztki dziczejącego sadu, w którym wyraźnie preferowano jabłonie, albo też tylko one przetrwały wojenną zawieruchę. Rodziły nadal wyjątkowo smaczne owoce...

Śladów prawdziwej Polski było w tamtym czasie, w dwadzieścia lat po wojnie, sporo jeszcze i w ludziach, i w przedmiotach.

Cokolwiek byśmy powiedzieli, Polska sprzed 1945 roku różniła się wyraźnie od tej, która mnie otaczała. Jej wyróżnikiem była ciągłość, kontynuacja tradycji i naturalna ewolucja. Polska po 1945 roku była zaś nieprawdziwa, sztuczna, narzucona, i przede wszystkim, poza szarością i bylejakością, czuło się w niej tymczasowość. Także obcość.

Urodziłem się czasie, gdy żyła jeszcze większość Polaków pamiętających prawdziwą Polskę, ale tej Polski już nie było. W ogóle Polski, tak naprawdę, już nie było. Stanowiło więc dla mnie nie lada zagadkę, jak ci ludzie, wydziedziczeni nagle z ciągłości czasu mogą żyć i starać się czuć dobrze po takim – dogłębnym wysiedleniu i w dodatku w siermiężnej rzeczywistości. Nie mówiło się jednak o tym, a oficjalnie wręcz cieszyło, że tak się stało...

Uczyłem się więc historii prawdziwej Polski z opuszczonych domów, rozbitych okien, wyważonych drzwi, porzuconych przedmiotów, zarosniętych parków, zdziczałych sadów, potłuczonych cmentarnych nagrobków...

Wielka Księga Ojczyzny splugawiona i sponiewierana leżała przede mną w błocie nowych wartości porzucona i bezpieczna, ale wtedy jeszcze otwarta wbrew zaleceniom rządzących i, co najważniejsze – czytelna.

Kartkowałem ją dzień po dniu.

Z tym, że te karty bywały różne, często przypadkowe i niekompletne, jak te z pałacowych bibliotek, w których fragmenty wycięte bagnetami okupanci mieniący się wyzwolicielami zawijali machorkę.

To moje zainteresowanie historią stawało się z czasem coraz bardziej wciągające i siłą rzeczy coraz bardziej idealizujące zakazany owoc mojego poznania. Bo tak to bywa z zakazanymi owocami. Powstawałem więc na puste cokoły pomników czasami takich, którzy wcale tam stać nie powinni i odwrotnie, pozrzucałem tych, którym należy się szczególnie pamięć. Przewartościowałem też i nasyciłem poezją oddalenia to, co często na taki zabieg nie zasługiwało. Ale też były to czasy wielkiej poezji wynikającej przede wszystkim właśnie z tajemniczości odnajdywanych fragmentów niedawnej rzeczywistości. Rekonstrukcja tego rozbitego czasu sklejana była głównie poetycką nostalgią.

Wpływ na tę nostalgię miała również powyższa jesień, z jabłkami wyluskiwanymi z trawy, albo ocieranymi z piachu, i lekcje, co prawda teorii Oparina, ale we wczorajszym pałacu, a także intarsjowana komo-

da wystawiona przed jedną z pobliskich chałup, w której wysuniętych szufładach niosły się gospodarskie kury.

2.

Miasteczko, przez które przechodziłem codziennie idąc do szkoły, jeśli akurat dojeżdżałem, intrygowało mnie stojąca na stromym brzegu ulicy cerkwią. Całkiem zwyczajną, podobną do innych kościołów wokół i nawet bez cebulastego zwieńczenia szczytu dachu, za to z wielką kłódką na drzwiach wejściowych. Do środka nie dało się niestety zaglądnąć, choć oczywiście próbowałem to zrobić. Dużo później dowiedziałem się, że składowano tam wtedy sól, pastewną chyba. Tej więc to soli strzegła wielka kłódka, a nie skarbów ikonostasu i tajemniczej wtedy dla mnie kultury, którą moi niechętnie wspominali, bo zbyt świeże były jeszcze wspomnienia lun nad tym skrawkiem ziemi. Gorycz osiadła ludziom na sercach i słowach.

Miasteczko było tak samo szare jak cały kraj wtedy. Jakby stale zanurzone we mgle nijakości. Nowością dla mnie były pożydowskie sklepiki usytuowane na skarpie nad drogą po przeciwnej stronie cerkwi. Drewniane, zwrócone szczytami w stronę drogi. Takich sklepików gdzie indziej już nie było. Witały wchodzącego dzwonkiem zawieszonym nad drzwiami, który jednocześnie gdzieś z przepastnego ciemnego wnętrza prywatnego świata przywoływał sklepikarkę. Nie wiem, jakiej była narodowości, ale brzmi mi jeszcze w uszach jej jakby lekko chrapliwe pytanie:

– To czego kawaler dziś potrzebuje?

A kawaler potrzebował zwykle pięć, czasami, przy dobrej koniunkturze – dziesięć papierosów marki „sport”; obrzydliwego świństwa, które można było kupić w niewielkich białawych paczuszkach z czerwonym napisem, lub „na sztuki”.

Obok wznosił się budynek apteki, do której nieodmiennie wysyłaliśmy pierwsze roczniki licealistów po „odrobinę sapiencji”.

Myślę teraz, że idąc tą starą węgierską drogą, właściwie traktem, ocierałem się o resztki dawnego świata, którego symbolami stawały się w równej mierze i senne domy miasteczka zgrupowane przy miniaturowym ryneczku, i nieczynna cerkiew, i pożydowskie sklepiki, i pałacyk na peryferiach.

Właściwie przechodziłem przez ten świat, bo miasteczko, chociaż niepozorne przecież niejako go uosabiało.

Jednak trzy elementy tego świata już wtedy nie istniały. Nie było już Żydów, grekokatolików i ziemiaństwa. Zdarzały mi się co prawda jeszcze bezpośrednie resztkowe spotkania z nimi, ale już tylko w szczątkowej formie.

W dodatku bardziej domniemane niż prawdziwe.

Jakaś sklepikarka jak powyżej, ukraińskie zdania słyszane w autobusie z Pelkiń w dzień targowy, czy rozmowa z wujkiem wychowanym we dworze.

Wszyscy oni jednak w jakiś sposób ulegali deklasacji, a w każdym razie odcinali się od swojej przeszłości, często dość zdecydowanie.

Żydzi nie przyznawali się więc do swego pochodzenia, tak samo jak i Ukraińcy, a wujek także nie obnosił się ze swoim ziemiaństwem.

Zresztą pozostali „obywatele”, jak się mieszkańców Polski wówczas szumnie, acz kłamliwie nazywało, również starali się nie rzucać w oczy i udawali nijakich z nijakiego tłumu. Powszechną ideą tamtego czasu była bowiem anonimowość.

Słynne, przeniesione z przyokienego napisu w pociągach: „Nie wychylać się!”, było nie tyle znaczącą wskazówką, co swoistym sposobem życia.

Dominującym klimatem była zaś wszechobecna szara nuda i takąż sama melancholia beznadziei, rozlana po kraju na podobieństwo jesienno-deszczu Staffa.

Co rozumiem dość dosłownie, bo deszcze wtedy padały często, a ja lubiłem włóczyć się w nich, szczególnie tych jesiennych, z piosenką Czerwonych Gitar w głowie, po zapuszczonych cmentarzach i zarastających parkowych alejkach.

Tak nasiąkałem wszechobecną melancholią, że ją w końcu polubiłem.

3.

Mieszkam w okolicy, gdzie kościoły są warowne, a ziemia pod miastami poryta na kształt szwajcarskiego sera. Drogi znaczone są krzyżami, z których każdy prawie jest pamiątką interwencji Bożej w zagrożonym świecie moich przodków.

Jeden oznacza odparcie tatarskiego zagonu, drugi wygaśnięcie zarazy, która zdziesiątkowała miasteczko, inny jeszcze jest granicą dawnej posiadłości, po której nawet pamięć w księgach nie przetrwała, a kolejny oznacza kres wyzysku nazywanego pańszczyzną. Pod tamtym zaś modlił się jeden z moich pradziadów idąc na flis. Najmniejszy, drewnia-

ny, odnaleziono przypadkiem kopiąc fundamenty, otarto go starannie z ziemi i wybudowano dlań kapliczkę, która stoi do dzisiaj.

Są tu miejsca i nazwy dziwne jak Tryńcza. Są krajobrazy jakby wyjęte z sienkiewiczowskiej trylogii, jak łąki między Ujezną a Jagiellą, niszczone dziś nowomodną autostradą. I są przede wszystkim typy ludzkie, jakby przeniesione żywcem z przeszłości.

Swoisty trójkąt powstaje z połączenia sanktuariów w Leżajsku, Jarosławiu i Rzeszowie, wszystkich sławnych cudownymi wizerunkami Matki Bożej. Tu spotkać można czas, który jakby się wydawało, już dawno przeminął. A jednak trwa tu właśnie w przedmiotach i ludziach, równie mocno, co kiedyś.

Tak samo jak niegdyś skrzypi kołowrót studni z uzdrawiającą wodą przy Pannie Marii w Jarosławiu, tak samo zgrzyta krata przy cudownym obrazie Przejrzystej Panny Leżajskiej, jak wówczas, gdy otwierano ją dla modłów Czarnieckiego, który tu ofiarował Najświętszej Paniency całej Polskę i Ruś Czerwoną w wieczne władanie.

Z zapartym tchem wczytywałem się tam w inskrypcje kute w kamieniu i malowane przed wiekami na ścianach. Opowiadały o cudach, które się w tych miejscach, lub za przyczyną tych miejsc, dokonały i o kolatorach, których pod ich opieką pochowano.

Część z nich była w języku łacińskim, którego mnie szczęśliwie uczono w klasach licealnych. Jak uczono to uczono, ale uczono. Za moją łaciniczkę z kańczudzkiego liceum, panią profesor Drąg modłę się do tej pory...

Warto dodać, że w tym czasie rządzący jeszcze nie zdecydowali się na całkowite zniszczenie normalnej szkoły i oderwanie jej od podstaw kultury śródziemnomorskiej.

Uczono nas więc jeszcze łaciny, choć już nie zaznajamiano z greką, dobrze znaną przecież naszym ojcom. Co tłumaczono, tak jak tłumaczy się u nas każde draństwo – dobroczynną praktycznością. „Greka przecież nie jest wam do niczego potrzebna i czas poświęcany na jej wyuczenie można spożytkować dla waszego dobra bardziej użytecznie...”

Z łaciną zetknąłem się już w dzieciństwie służąc do mszy świętej w ujeźniańskim kościółku.

Fascynowała mnie i onieśmiała, bo jakże to wypowiadać myśli dźwiękami sprzed tysięcy lat?

Późniejsze uświadomienie sobie, że łacina była językiem uniwersalnym dla Europy przez wiele wieków, wywoływało mój nieklamany zachwyty.









*Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum;  
Benedicta Tu in mulieribus,  
et benedictus fructus ventris Tui, Iesus.  
Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus,  
nunc et in hora mortis nostrae. Amen.*

– do dzisiaj wyzwala we mnie dreszcz wzruszenia i poza znaczeniem czysto religijnym, poczucie łączności z całą przeszłością świata europejskiego. Z wszystkimi wiekami i ludźmi, którzy te słowa rozumieli i kochali. Od najwykleszych po najświetniejszych.

Niestety wraz z Soborem Watykańskim II zgłosiła w kościołach łacina...

4.

Sentymenty, niedookreślone rzewności, tkliwości wywoływane nie do końca ukonkretnionym zapachem, dźwiękiem, krótkim jak błysk fragmentem obrazu, których nie sposób uchwycić, by rozpoznać... Właściwie odnoszą się one jedynie do naszych wyobrażeń, marzeń, często nieskonkretyzowanych pragnień, które potem przenosimy na rzeczywistość i które do niej nigdy ściśle nie przylegają. Bo one w rzeczywistości nie dadzą się ukonkretnić. Pragniemy wtulić się w nasze marzenie, naszą baśń niemożliwą. Ale tak naprawdę Galatea nigdy nie istniała, bo istnieć nie mogła...

Jakieś wzruszenia, rozanielenia, zachwyty, pragnienia, które rodzi młodość i oddala w niespełnienie, dla ich i naszego dobra, widzimy po latach jak przez zaporowane okno.

One to jednak stały się, jakby całkiem bez naszego przyzwolenia, kamieniami milowymi naszego świata i jego wyznacznikami.

Być może moją nieco sentymentalną naturę ukształtowały przedwojenne mody przechowane dla mojego czasu głównie w piosenkach i pewnych codziennych gustach moich bliskich.

W nuceniach mojej babci podczas codziennego gotowania, w wieczornych spotkaniach przyjaciół, których wtedy nie sposób było sobie wyobrazić bez wspólnej piosenki, w częstych recytacjach fragmentów albo i całości poetyckich.

Któż dzisiaj w to uwierzy, że recytowało się wiersze podczas zwykłych spotkań? Albo zrozumie, że bywali ludzie znający na pamięć całego „Pana Tadeusza” czy „Beniowskiego”?

Babcia recytowała mi w dodatku „na dobranoc” strofy Heinego i to po niemiecku, ale najbardziej lubiła, o ile dobrze pamiętam, „Ojca zadżumionych” Słowackiego i „Alpuhare” z Mickiewiczowskiego „Konrada Wallenroda”, między które wtykała przerywniki w rodzaju „pu-szysty śniegu tren”, albo „orle powstań z więzów ran, orle wzleć nad polski lan” czy też „w Tyrolu gdym na warcie stał i o swej lubej śnił, wiatr z południowej strony wiał, wiatr to rodzinny był”...

Cechą szczególną i jakby dominującą tej kultury była chyba rzewność. Ale też i rubasność, o czym napiszę w innym miejscu.

Zastanawiam się po latach, obserwując jakby całkowicie dziś zanik rzewności, czy była ona jedynie modą? Czy też może jednak jesteśmy tak skonstruowani, że tęsknota, której wyrazem jest rzewność i dążenie do jej zaspokojenia jest jednak naszą domeną, którą teraz odrzucamy wbrew sobie, na przekór sobie?

Trudno się dziwić, że wszystko to, o czym mówię, ukształtowało taką a nie inną moją wrażliwość. W niej i z niej rodziły się we mnie zachwyty i zamyślenia. Z niej też chyba sentyment do historii.

W tym ostatnim jednak było sporo z przypadku, jeśli ktoś wierzy w przypadki, jak choćby choroba ucha. To ona właśnie skłoniła mnie do przeczytania sienkiewiczowskiej trylogii w wieku dziesięciu lat. Kilka-krotnego zresztą przeczytania, bo rzecz mnie urzekła.

Nieszczęsne ucho bolało mnie zwykle nocą, a że do lekarza było sporo kilometrów, leczono mnie w ten sposób, że wygrzewałem ucho gorącym strumieniem powietrza bijącym ze szkiełka lampy naftowej. Potem zatykano je kłębkiem waty. Czynność tę powtarzano do skutku, czyli dotąd, aż ból ustąpił. Czasem schodziła na tym spora część nocy. W przerwach podsuwano mi różne pomysły, z konieczności głównie czytelnicze, bylebym tylko się czymś zajął. Przerzucałem więc strony proponowanych książek, aż kiedyś moje zamglone bólem oczy dostrzegły opis stepu, który mnie zatrzymał i wyleczył, bo tak zagłębiłem się w książkę, że zapomniałem całkiem o uchu. Odtąd czytałem, czytałem, czytałem... doszło w końcu do tego, że zacząłem udawać ból ucha, byleby tylko móc czytać nocami. Otworzyła się bowiem przede mną nie-zwykła wielkość treści i formy...

Na „moje miasteczko” złożyły się we mnie, jak w dawnym dziecięcym kalejdoskopie, tyle że raczej w szarej tonacji barwnej, obrazy kilku rzeczywistych miejscowości, w których pomieszkowałem w młodości.

To Przeworsk, Kańczuga i Jarosław. Dochodzą do tego reminiscencje z podróży do Kazimierza, Biecza i Sandomierza, a także moja teraz-niejsza obecność w Kolbuszowej, gdzie nota bene zetknąłem się najpełniej z kulturą żydowską.

Wszystko to wzięte razem składa się dopiero na obraz „mojego miasteczka”.

Trochę wyidealizowanego, trochę baśniowego, ale najbardziej polskiego z możliwych. Bardziej polskie od tego pozostawiliśmy poza obecną wschodnią granicą. Ukradziono nam je wpięrow z miejsca na mapie, potem z pamięci, a wreszcie z wyobraźni.

Przeworsk jest tym miejscem, w którym pierwszy raz świadomie zetknąłem się z zabytkami przeszłości. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Dworek moich pradiadków zwalono i rozebrano w 1962 roku, gdy miałem już 12 lat. Nie zobaczyłem go jednak wcześniej, bo nikt z rodziny tam nie podróżował, choć nie było to przecież szczególnie daleko i chmury, które śledziłem czasem na niebie, dolatywały tam w niespełną godzinę. Po latach, kiedy odwiedziłem wreszcie to miejsce wyniosłe i zielone wśród rozległej okolicy, znalazłem tylko stawy szmaragdowe od rżęsy i starą cerkiew nieopodal nich przerobioną na kościół...

Na jedynym zachowanym zdjęciu widać, że dwór był drewniany i podmurowany dawnym sposobem, z portykiem przy wejściu. Uroczy w swej dawnej polskiej zwykłości, a jednak widać uwierający sumienia i niebezpieczny dla nowych władców, skoro postanowili go zburzyć. Rok później, w 1963, zamordowano ostatniego żołnierza prawdziwej Polski, który nie złożył broni przed komunistycznymi okupantami...

Wracając do Przeworska: Przyjechałem tu po raz pierwszy na badania lekarskie do przychodni mieszczącej się w dawnej oficynie Lubomirskich.

Zaskoczyły mnie wręcz i zaciekawiły kształty pobliskiego budynku, jak teraz wiem – właściwego pałacu, przypominającego bardziej willę z włoskiego kurortu niż polskie dwory; resztki lamp przy nim, nawet drzew, bo nie widziałem wcześniej grabów.

I tajemnicze wtedy, niesłychanie intrygujące, a dziś tylko piękne – „SALVE!” wycięte nad wejściowymi drzwiami.

Ale największe zadziwienie czekało mnie w innym miejscu.

Szliśmy, pamiętam to dobrze, grabową aleją, o niezwyklej konfiguracji gałęzi, rysujących się kapryśną, powiem teraz, secesyjną grafiką, na tle śniegu i porannego nieba, aż do oranżerii, która cudem przetrwała i wojnę, i szaleństwo nowego ładu. A w niej za szybkami, jak zjawy z literackiego świata, stały – palmy!

Te, które wcześniej widziałem na kartach czytanych mi wtedy przez dziadków przygod Stasia i Nel.

Więc wyjątkowo długo nie mogłem się od nich oderwać.

– Nie czas teraz na to – perswadowała babcia. – No chodźże, wróćmy tu potem, jeśli starczy czasu.

Więc weszliśmy w smród pyłochłonowanych podłóg, ziąb korytarzy, echa stanowczo zamykanych drzwi, dźwięki szkła i metalu.

I tego dnia już nie spotkaliśmy się w zimowym Przeworsku z południowymi gośćmi.

## 7.

Historii uczyłem się także, albo i głównie z książek. Tak zakazanych, że aż pogardzanych. Znajdowanych często na zsypanych makulatury, wygrzebanych ze strychowych składowisk, wydłubywanych spoza innych książek w biblioteczkach domowych. Dostałem także książki ze szkolnej biblioteki wycofane ukazem nowych władców.

Historia moich przodków przychodziła do mnie też w postaci biskwitowych bibelotów, resztek dawnych codziennych przedmiotów, takich jak walce pozytywek, czy dzwonek niegdysiejszej szkolnej sygnaturki, o której kiedyś pięknie pisał Gomulicki we „Wspomnieniach z niebieskiego mundurka”.

Trafiałem także na resztki przedwojennych czasopism, szkolne zeszyty moich rodziców, oraz drobiazgi przechowywane w pudełkach i szufladach. Łańcuszki, medaliony, guziki, także te z orzełkiem w koronie od wojskowych płaszczy, monety, zachowane dokumenty, a tych nie było zbyt dużo, bo nie zdążono wiele zabrać z opuszczanych bezpowrotnie domów.

Pamiętam szczególnie monety – austriackie srebrne pięciokoronówki z wąsatym cesarzem i polskie dwuzłotówki z głową pięknej pani w aureoli z kłosów, które tak jakby były wyprodukowane specjalnie dla mnie do puszczania kaczek po stawie przy remizie; co też i robiłem, ku zgrozie babci, która dobrze pamiętała przecież ich wartość. Ciężką pię-

ciokoronówką można było nabić niezłego guza, a dwuzłotówki szybowywały w szuwary na drugim brzegu. Poza puszczaniem kaczek lubiłem też kłaść pieniądze na szynach i znajdować po przejeździe pociągu metalowy placek, ale to już była, znacznie później w Kańczudze, jedna z moich zabaw ze śmieszną kolejką wąskotorową przewożącą głównie buraki cukrowe, monetami zaś aluminiowe używane wtedy złotówki. Tylko raz trafiła się piątka z rybakiem, bo nic innego nie było w kieszeni.

Miałem też wygrzebaną skądś odznakę dziadka. Śliczną, bo na turkusowej emalii srebrzyła się pięknie wycięta cyfra 40, ale mi ją odebrano i gdzieś zaprzepaszczono, bo potem już jej nie widziałem.

Niektóre odpryski przeszłości w pełni należały do mnie i mogłem robić z nimi, co chciałem. Na przykład austriackie tasaki artyleryjskie, wymienione z kimś tam za znaczki wszystkich prezydentów USA, wymienionych znów za coś innego i tak dalej. Mój był także graniasty ruski szpikulec bagnetu i szaszka znaleziona w jakichś rupieciach, które długo czyściłem, według starego przepisu, potłuczoną cegłą. No i znalezione na kolejowym nasypie gdzieś pod Pełkiniami trzy monety z okresu Wazów. Do teraz w przypomnieniu widzę postać króla z rurkowaną kryzą pod szyją...

Karny zadatek na obywatela – oddałem to wszystko do muzeum i oczywiście ni śladu dziś po tym.

Postąpiłem trochę jak ostatni właściciel przeworskiego pałacu, fan-tasta, nie on zresztą jeden, który wszystko, co miał, a było tego sporo: wspaniałe zbiory biblioteczne pełne starodruków, grupę marmurowych rzeźb, militaria, numizmaty, meble i wyjątkowe dzieła sztuki w tym wspaniałe obrazy, wśród których „Madonna” Tycjana była takim tam sobie obrazkiem – postanowił przekazać narodowi polskiemu.

Tak sobie wymyślił – marzyciel... I jak pomyślał, tak zrobił. W efekcie większość tych drogocенności została doszczętnie rozkradziona, z czego lwia część słynnej kolekcji przeworskiej, o której kiedyś opowiem, bezpowrotnie zmarnowana przez ów „naród”.

Za mojej pamięci w ogoloconym ze sprzętów pałacu, po którym dosłownie hulał wiatr, przez lata mieściła się szkoła muzyczna. A całość wyglądała tak, że nawet do głowy by nikomu nie przyszło, że niedawno jeszcze była to jedna z wyjątkowych rezydencji magnackich w Galicji, zbliżona swą wartością do łańcuckiej.

Tenże „naród” wracając z partyjnego polowania, jak słyszałem, w latach sześćdziesiątych spalił pałac w Przeclawiu, wraz z salą pełną

troskliwie zbieranych przez pokolenia pamiątek po przodku właścicieli  
– Mikołaju Reju, rozpalając w pijanym widzie ogień w atrapie kominka.

Muszę też tu w tych wypominkach wspomnieć o moim zbiorze znaczków pocztowych. Były tam i przywiezione ponownie arras i odnaleziony Ołtarz Mariacki i urokliwy fresk świętej Anny z Farras kładącej wymownie palec na usta, i odnowiona po wyciągnięciu z ukrycia w stodole „Bitwa pod Grunwaldem” Matejki...

Z tych ułamków odnajdywanej pamięci, z wolna składała się we mnie Polska. Czy prawdziwa, nie wiem do dzisiaj, ale na pewno moja własna. Serdeczna.

## Z KSIĘGI LAMPY NAFTOWEJ

## OPOWIEŚĆ DOMOWA

### Wstęp

Pannę Świętą, co w Ostrej świeci Bramie, zobaczyłem w wielkiej Księdze, którą dostałem w zadeszczony wieczór od ciotki Salomei. Pamiętam dobrze ten wieczór. Księga była jak na moje dziesięć lat ogromna, szeleszcząca skrzydłami żółkłych kart, pachnących w niepowtarzalny sposób. Na okładce wytłoczono orła w koronie, w Polskiej Dumie na głowie... Ach, więc był gościem z Czasów, o których mówiło się szeptem. Przyszedł wraz z całym swoim światem na jagiellański kuchenny stół, pod naftową lampę i moje gorące oczy. I przeniosła mnie Najświętsza Panna do tych łąk zielonych, pól malowanych... Błysnęła mi Święteż pośród czarnego lasu, poleskie bagna zachlupotały pod stopami... Słowa zaczarowane: Lwów, Wilno, Grodno, Lida, Krzemieniec, Żółkiew, Olesko, Druskienniki... rozsypały się wokół jak perły... I nagle zdałem sobie sprawę z tego, że są to najwyklejsze słowa; słowa Utraconej Codzienności, w której niepodzielnie króluje Pani Ubrana w Słońce. Zapadł mi wówczas Jej obraz w duszę tak głęboko, że pamiętałem Go nawet wtedy, gdy zamknąłem Księgę i powróciłem w moje czasy, czasy bez korony, bez godności. Od tej Panienki rozpoczynam także dziś moją opowieść, w czas jesieni, kiedy nastala pora dorabiania kluczy do dalekich i bliższych światów. Pogubiłem je kiedyś bardzo nierozważnie. Wytrząsałem czyszcząc kieszenie, zapomniałem na parapecie okna z pelargonią, lub wyrzuciłem nawet z sarkazmem. A teraz, cóż, wiatr rozmiata listowie i widać pozamykane furtki, za którymi utracone przestrzenie uwiedzionych kiedyś myśli. Zapalam więc światełko pamięci i zanurzam się...

...Znowu słyszę kuka kukulka za bramą ogrodu i kawka się sposobi, by usiąść na moim ramieniu. Sieje się słońce przez zielone sita liści. Idę starą drogą do Domu Pradziadków, to znaczy donikąd, bo dawno nikt z naszej Rodziny już w nim nie mieszka. A jednak te same świerszcze z dzieciństwa wyskakują nad trawy, te same, co dawniej, zapachy z pól uderzają we mnie. Witam się z kapliczką na rozstaju, tą, poza którą rozlewają się łąki, i proszę o Chwilę Powrotu...

Do przestrzeni łąk przylegał także dom mojego ojca, zbudowany przez jego ojca, Wojciecha.

...Dziadek Wojtek, malutki ruchliwy człowieczek, z także malutkimi równo przyciętymi wąsikami nad wargą, całkowicie wypełniał sobą przestrzeń domu. Poza nim mieszkaly tu jeszcze kanarki i szczygły w swoich klatkach porozwieszanych we wszystkich izbach, czwórka jego dzieci: Józef, Eugeniusz, Jan, Janina, no i Babcia Zosia. Postawna, piękna kiedyś kobieta, niezwykle bogobojna i wyciszona w sobie. Jej pogoda ducha i niezmiennie: „Nie martw się. Wszystko będzie dobrze” były balsamem na bóle całej rodziny, przez wszystkie lata jej życia. Przy domu stała połączona ze stajnią stodoła z obszernym gołębnikiem, którego mieszkańcy byli oczkiem w głowie Dziadka. Zachwycał się nimi, rozmawiał z nimi. Poza tym był jeszcze zawsze jakiś pies. Pamiętam Błazna, którego wyuczono paru zabawnych sztuczek. No i koń, chociażby ta siwa kobyła Baśka, która czasem tańczyła przy dyszlu, co było szczególnie kłopotliwe przy zwożeniu siana. Na krowy nikt specjalnej uwagi nie zwracał, chyba, że lazły w szkodę. Nimi zresztą zajmowała się głównie Babcia, więc żyły tak cicho jak ona. Codziennie prowadziła je rano w łąki pod przechyloną wierzbę, albo trochę dalej. Schodziła drogą przy płocie plebanii, skąd rozciągał się widok przez pastwiska i łąki, aż po Jagiełłę. Po lewej stronie tej drogi Dziadek miał zagon konopi, na których wiązał „silki” z końskiego włosia, w które łapały się spłoszone szczygły. Czasem Babcia prowadziła krowy nad bagno ocienione olszyną. Mówiono, że w nim za c.k. Austrii utonął huzar, wraz z pławionym koniem. Przepadli razem w głębinie porosłej teraz mszarem i rzęsą. Potem szła do grządek przy polu kukurydzy, a gdy się umęczyła pracą, przysypiała na miedzy w śródpolnych zapachach i świerszczach. Potem czekało ją jeszcze codzienne przygotowywanie obiadu i domowa krzątania. Dziś zapalam serdeczne światełko pamięci nad tym jej zabieganiem i przemęczeniem.

Łąki spływają ze Wzgórz Pełkińskich i rozlewają się za Ujeźną, aż po Jagiełłę i Niechcialkę w niewielki step, z przestrzenią pełną skowronków zawieszonych na cieniutkiej nitce śpiewu i czajek płaczących nad głową przechodnia. Z mnóstwem ziół i traw, których część od wieków wypasano, drugą zaś, po przeciwnej stronie rowu Bóg rozłożył do podziwiania. Rów melioracyjny, dawniej rzeczka, z brzegami zrytymi ramicami bydła gaszącego pragnienie, rozcina przestrzeń, skutecznie rozdzielając ją na użytkową i ogrodową. Mam tu na myśli oczywiście Ogród Boży, pełen nieprawdopodobnych niezwykłości, od zielono-złoty klejnotów jaszczurek poczynając, po drobniutkie różowe gwiazdki centu-

rii. Chodziłem często wzdłuż tego rowu, ponieważ prowadziła tędy najkrótsza droga do domu.

A domem nazywałem wtedy dwie szkoły podstawowe, w których mieszkałem, na przeciwległych brzegach łąk. W jednej kierownikiem był Ojciec, w drugiej Dziadek. Dzielili ich przepaść traw i codzienności, pozornie tylko jednakowej. Budynki obydwu szkół postawiono w początkach XX wieku. Stały w kremowym kolorze ścian, z naczółkowym dachem krytym czerwoną dachówką. Duże domy o wielu wysokich salach, w których popołudniami rozbrzmiewało echo moich małych kroków. Każde mocniejsze zamknięcie drzwi niesło się tam zwielokrotnionym pogłosem. Akustyka była tak wielka, że dotąd pamiętam niepokojąco głośny szelest żerujących larw jedwabników, które hodowaliśmy z Dziadkiem Piotrem, ojcem mojej Mamy, w jedne z wakacji, w opustoszałych klasach lekcyjnych i na korytarzach. A wizg metalowych drzwi zamykających strych wywoływał rezonans w przestrzeni, w uszach i w serduszkach.

(– Sercu, nie serduszkach – poprawił mnie kiedyś Dziadek. – Jesteś już dużym chłopcem i nie wypada tak mówić. – Wtedy właśnie rozpoczęła mi się dorosłość.)

Za tymi drzwiami rozpościerała się baśń ciesielska dachowej więzby i murarska zdunów, wielkich kominowych stóp pnących się, aż po otchłań pograżonych w mroku belek, u których spały nietoperze. Tę przestrzeń dźwigarów i bali odnalazłem potem przy Dzwonie Zygmunta na krakowskiej wieży i to one sprawiły, że pojąłem jego bliskość i wpisalem go w Domowy Krajobraz.

Malutkie strychowe okienka więziły rzeszę skrzydlatych stworzeń, usiłujących wylecieć wskroś przez szkło. Motyle, najczęściej rusalki, zielonkawo-muślinowe złotooki, osy i muchy obijały się o tafle, za którą kusił bezmiar ogrodu, odmet zapachów i smaków. Sądzę, że przypominało to poniekąd moje późniejsze próby odnalezienia Boga poprzez zachwyty nad światem natury, który stał się dla mnie w pewnym momencie i oknem rozświetlającym duszę, i przegrodą nieprzezwyciężalną. Trzeba było dopiero Boga, by uchylił mi to okno.

Z jednego ze strychów namiętnie wpatrywałem się wtedy w pasemko lasu na horyzoncie, w jego tajemnicę, którą stworzyła odległość. I choć dobrze wiedziałem, że był to tylko sosnowy wybujały młodnik, posadzony podług reguł nudnego racjonalizmu leśników, poezja oddalenia kazała mi w nim widzieć granicę między zwykłością a tęsknotą. Tą, która dopada człowieka na progu jesieni, każąc odprowadzać wzro-

kiem ptaki, śledzić wirujące na drodze liście i marszczoną palcami wiatru wodę. Chłonać zapach ognisk na kartofliskach i wpatrywać się poprzez ich dym w przestrzeń tak uparcie, że czasem lzy spływają aż do ust. A także wpatrywać czegoś niedookreślonego w zamieciach i zawięjach napływających z pół. Wyczekiwać zapachów i dźwięków, które jakby przypominały się skądś i odlatywały nieuchwycone... Nazywałem potem ten stan różnie. Nigdy jednak jego prawdziwym mianem: ~~wyczekiwaniu~~ na Boga.

Odkryłem dość wcześnie cud codzienności i badanie go zajmowało mnie bez reszty. Przecież wszystko wokół było tajemnicą. I sok wypływający z nadłamanej gałązki wiśni i ciemnogrnatowy żuk spieszący między plamami słońca wybieganą przeze mnie ścieżką wśród pokrzyw i bobłoki, których piana układała się w cieniste parki lub bezładne wysepki. I wielka tajemnica majowej nocy, kiedy wraz z Babką Katarzyną żabami z pobliskiego stawu odśpiewywaliśmy pod krzyżem historię Bernatki, która poszła w Lourdes po drzewo...

I pełne wichrowych opowieści jesienne wieczory. Lub burze i zadymki szalejące za płotem, który ledwie majaczył, chociaż stał nie więcej niż parę kroków od domu. Równie jednak frapujący był cień kalamarza, czy muchy łażącej po stole...

Poza informacjami radiowymi niczego nie wiedziałem o dalekim świecie. A i tego było aż nadto. Pamiętam dobrze, jak Dziadków zaniepokoiła możliwość wybuchu wojny o Kubę. Jak skupialiśmy się przy gadającym oczywiście androny pudełku i jak tę jego nowomowę przekładaliśmy następnie na normalny język. I jak wreszcie odetchnęliśmy z ulgą, gdy napięcie opadło. Cień atomowej zagłady kładł się jednak długo jeszcze potem na wieczorne rozmowy. Uciekałem jak mogłem od takich wiadomości w moją prawdziwą rzeczywistość.

W widok firletki w pobliskim rowie, w zabawę z nietoperzem pikującym za rzuconym kamykiem, w nasłuchiwanie jaskółczych opowieści z gniazda pod okapem dachu. W dalekie wędrówki po polach.

Pola, najsensowniejsze po modlitwie działanie człowieka, rozciągnięte po horyzont. O każdej porze roku kipiące życiem i niezwykłościami. Od delikatności wiosennych po wietrzną pustynię zimową. Można nimi iść w nieskończoność, w zapachach i śpiewach, w szelestach i szepkach. Miedziami w rumianach, bławatach i koniczynach, albo czasem, na przełaj, w aromacie nagrzanym kłosów muskających twarz i chrzęście lody zapowiadającym bliskie już żniwa. Wędrować przez dwa dominujące kolory, co dobrze rozumieją Ukraińcy, odcienie błękitu i złota.

Wracałem z takich wędrówek tak bardzo senny, że zdarzało mi się zasnąć przy kubku wieczornego mleka. A szkoda było marnować wieczoru, bo był on zwykle najciekawszy z całego dnia. Gwarny i serdeczny. Zgrzytem zdejmowanego z kominka lampy szkiełka rozpoczynają się szarówka. Dziadek pochuchawszy, czyścił je dobrze zmiętą gazetą, potem dolewał nafty i przycinał knot. Wystarczyło go teraz skręcić i dotknąć płonąca zapalką, by zaczął się wieczór.

Prawie zaraz przychodzili domowi, sąsiedzi, znajomi, by szczególnie w długą chłodną porę, przy ciepłe kaflowego pieca nacieszyć się sobą i podzielić swoim bogactwem. Niezwykłością przeżyć i przemyśleń.

## WIECZÓR PIERWSZY

(Kamień)

Łegar przesypywał sekundy. Siedziałem w kręgu ciepła pieca patrząc w iskry osypujące się do popielnika. Na płycie kuchennej piekły się talarki ziemniaków, które przegryzaliśmy smarując masłem i posypując solą. Lampa wisząca na ścianie przygasiała czasem, by zaraz potem nieoczekiwanie się rozjaśnić. Wiatr hałasował za oknem.

– No to i mamy znowu zimę, Pieciu – mówiła Babka.

Dziadek ujął firankę, pochylił się ku oknu i trwał tak chwilę w niezdecydowaniu, czy przysłonić je, czy też zostawić odsłonięte. Śnieg tymczasem pobielił już piwnicę i dachy drewnutni i kurnika tak, że tym razem nie odeszły w noc, przeciwnie, świeciły wyraźnie w coraz głębszym mroku...

– A mamy – przytaknął. – Dobrze, że my drewno skończyli rąbać, bo też by to był teraz kłopot.

I zaczął przekładać czubkiem noża ziemniaczane plasterki, by nie poprzywierwały do blachy.

– Opowiedziałbyś, Dziadziu, o kamieniu – poprosiłem. – Myśka jeszcze tego nie słyszała..

Gościła wtedy u nas kuzynka z Łańcuta, niewielkie stworzonko, takie, co to właśnie mysz nazywało myśką, wszystkiego się bało i które koniecznie zapragnęłam postraszyć.

– Hm – chrząknął Dziadek, a Myśka, widząc chyba mój krzywy uśmiezek, przezornie a niezwykle szybko wlaża na kolana Babki.

– No, to było dawno... O, dawno... – zaczął Dziadek.

– Jeszcze przed naszym ślubem – westchnęła Babka.

– Byłem wtedy nauczycielem w Rokitnicy, koło Żabinki, w powiecie kobryńskim.

– Na Polesiu – dodała Babka.

– I raz wracałem z konferencji w Kobryniu, z kolegą, też nauczycielem z innej szkoły, który miał u mnie zanoć. Wysiedliśmy z pociągu na stacji w Żabinie i stamtąd pieszo ruszyliśmy do domu. Najpierw szosą, przy rzece, ale że noc się zaczęła robić chłodna, pomyślałem o dobrze mi znanym skrócie. Skręciliśmy więc w prawo i odbijając od Osipówki, bardziej rowu, niż rzeczki, poszliśmy na przelaj przez podschnięte mokradła. Gdzieś tam, prawie w ich połowie leżał polodowcowy głaz wielkości sporej chałupy. Przestrzegano mnie zawsze przed nim. Szczególnie gospodarz, w którego obejściu mieściła się szkoła, mówił, że diabeł siedzi w tym kamieniu. Że wodzi podróżnych, że topi ich nawet w Osipówce. Śmiałem się z tych przestrog. – No cóż – myślałem – ciemnota i pijaństwo rodzą takie bajdy.

– Ho, pan każe szo pan ne werit. No haj bude i tak. Może i pan kołyś powiri – wzdychał, co miałem za wyraźny przejaw głupoty.

– O, bo Dziadek wierzył wtedy jeszcze niezmaczenie w naukę i racjonalne wyjaśnienie wszystkiego, co niewyjaśnialne – prychnęła Babka Katarzyna.

– Przechodziłem tamtędy wiele razy, a gdy bagna podsychały, jeździłem nawet rowerem – ciągnął Dziadek – i nic mi się nigdy nie przydarzało, tak że w końcu o wszystkim zapomniałem. Ciężki kamień był mi nawet bardzo miły w upały, bo wypoczywałem w nim czasami patrząc na wodę i dachy pobliskiego Strygania, wsi tuż za rzeczką, przy której w wiekowych drzewach stał równie stary dwór. Do mojego domu był już stąd niespełna kilometr prostą ścieżką. Nie tym razem jednak. Nie w ową październikową noc, gdy powiedziałem ze śmiechem do towarzysza podróży:

– Wiesz, durni chłopci twierdzą, że tutaj czort siedzi!

I ze śmiechem plasnąłem dłonią w kamień. Władek też serdecznie się zaśmiał, no bo czego to ludzie nie wymyślą...

Dziadek zamilkł na dłuższą chwilę. Słychać było szelest opadającego popiołu i jęk wichru. Myśka pisnęła przejmująco i zrobiła ogromne oczy, jeszcze większe niż zazwyczaj, a i mnie było jakoś nieprzyjemnie,

choć dobrze znałem dalszy ciąg historii, a może właśnie dlatego, że znałem.

– Obydwaj w tej samej chwili, usłyszeliśmy nagle potężny, przejmujący śmiech, z niczym nieporównywalny – ciągnął dalej Dziadek – i jednocześnie zobaczyliśmy nad dalekim dworem światło, coś jakby wznoszącą się gwiazdę, od którego pociemniało nam raptownie w oczach. Gdy minął zawrót głowy, żaden z nas nie potrafił już wskazać kierunku dalszej drogi. Słyszeliśmy parszające w Osipówce wydry, słyszeliśmy szczekanie psów w Stryganiu... i całą noc przeskakiwaliśmy, tam i na powrót rów, idąc jak nam się zdawało ku szkole w Rokitnicy, a w rzeczywistości nie oddalając się nawet na kilkanaście metrów od głazu. I dopiero, gdy się na dobre rozwidniło zorientowaliśmy się gdzie jesteśmy. Nie mówiąc do siebie ni słowa, zawróciliśmy i okrężnie szosą dotarliśmy wreszcie do naszego mieszkania. – A szo, ja ne howorył panam, szo tam czort sedyt? A pan mene ne werył – powiedział mi z wyrzutem mój gospodarz, kiedym mu po wyspaniu się wieczorem o wszystkim opowiedział.

Odtąd zresztą słowa gospodarza z Rokitnicy, owe: *Ho, pan każe, szo pan ne werit. No haj bude i tak. Može i pan kotyś powiri* – stały się u nas powiedzeniem domowym na oznaczenie głupoty interlokutora, do którego nie docierają żadne argumenty.

Doprowadzały one potem rodzinnych, światowo (czytaj – postępowo) nastrojonych gości do mimowolnego zgrzytania zębami, gdy Dziadek czasem podsumowywał nimi ich bardzo uczone wywody.

Wiatr za oknem przysłuchiwał się temu i potwierdzał.

– A pamiętasz, Pieciu, tę historię o wozakach drewna?

– Tak... Opowiadali znowu chłopci – uśmiechnął się Dziadek – że jadąc do Brześcia z drzewem...

– Kupowali drewno po tańszej cenie u siebie, a drożej sprzedawali w Brześciu – dodawała Babka.

– Natrafiali w drodze na takie miejsce, w którym chwycił się ich błąd i krążyli często przez wiele, wiele godzin.

– Jak pojechali później, to było dobrze, ale jak wyjechali wcześniej, to akurat nocą dojeżdżali do takiej kuźni, która stała na uboczu, między dwoma wsiami. Czynnej, ale nawet kowal się jej lękał. Mówiono, że po zmroku słycać w niej było kucie, choć kowal właśnie siedział w karczmie. Tak to z nią było.

– A trzeba było jednak wyjeżdżać wcześniej, by przed konkurentami dojechać do miasta. Jednego razu pięć furmanek jeździło do rana naokoło kuźni.

– Słysz Iwan, hudko uże Berest bude – naśladowała Babka głos rozespanego woźnicy.

– A musi hudko – odpowiedział Dziadek i obydwójce wybuchnęli śmiechem.

Wicher śmiał się razem z nimi i klaskał dachówkami, a Myśka coraz mocniej wtulała się w Babkę.

## WIECZÓR TRZECI

(Płatek róży)

W Tryńcy, nad Wisłokiem, jeszcze nie tak dawno stał na wzgórku dom, wokół zabudowania gospodarcze i sad. Ten pamiętam najbardziej. Jego cienista resztówka robiła na mnie w dzieciństwie ogromne wrażenie. Od kościoła po Wisłok szły drzewa orzechowe, wiśniowe, jabłoniowe. Trochę może zbyt mroczne, zbyt niepokojące, ale rozświetlane zapachami, szczególnie wtedy, gdy dojrzewały jabłka i grusze. Ileż tam było plam światła pod drzewami i os, tak, że czasem boleśnie się myliłem. Zaraz za sztachetową furtką wchodziło się w ten wiecznie wilgotny półmrok i wędrowało sporo minut, aż ustąpił miejsca domowi, który kiedyś tam miał ganek na słupach, potem już tylko koślawa werandkę z resztką kolorowych szybek patrzących ze skarpy w dół, ku kwietnemu ogródkowi i dalej ku łozom, za którymi już była woda i kaczki. Przy domu trwała jeszcze drewnutnia z pralnią, potem stodoła z drzwiami na wrzeciędzach i obszerna stajnia. Obór już nie było. Wszystko to już wtedy miało tabaczkowy kolor przeszłości, i było nieużywane, odkąd pomarła Maria i Franciszek, rodzice Babci Kasi, Mamy mojej Mamy. Urzędowała tu teraz Ciocia Salomea, siostra Babci, nauczycielka – siłaczka, jakie jeszcze spotykało się w początkach mojego życia. Mieszkała w prawej części domu, wraz z oswojoną myszą, którą można było cmokaniem wywołać zza szafy. Już rachitycznej, ale prześlizniętej barokowej. Ciotka niezwykle elegancka kiedyś. Serdeczna po staropolsku. We wszystkim trochę egzotyczna. Ale nauczyło ją tego właśnie życie



siłaczki, nieodmiennie samotnej we wszystkim cokolwiek się wydarzało. Swoje życie kształtowała trochę na wzór literatury, którą pochłaniała, psując oczy przy kopczącej lampie. Miała duże ambicje, co do swoich poczynań i co do ich miejsca. Bywała w Karlsbadzie, Pradze, Wiedniu, Krakowie i Lwowie, a osiadła w Tryńcy. Tu na równinie utworzonej przez międzyczecze Sanu i Wisłoka powstała, zgodnie z etymologią swojej nazwy, ta – mokra wieś. Wody wylewały tam często, stąd i ptactwa było w bród i ryb nie brakowało. Opowiadano na przykład, że po jednej z nieodległych powodzi, kiedy wody opadły, w zagłębieniu gruntu pozostał sum. Tak ogromny, że ludzie bali się podchodzić. Po lasach zaś trafiały się różne niebezpieczeństwa, także zwierzęce. Teraz ziemia tu sucha. Drogi pewne. Tropy niedźwiedzie Stadnickich poginęły w księgach, choć jeszcze nie tak dawno strach było jeździć do puszczańskiego sanktuarium w Leżajsku... Po pradawnym pograniczu polsko-ruskim pozostały jedynie ułamki nazw. To samo po lasach, bagnach i brodach. Z dawnej dzikości krajobrazu ledwie resztkę łąg nad zapomnianym meandrem rzeczonym, trochę wikliny, przetrzynięty koleiną pagórek piachu, obsypany gwiazdkami rozchodnika i cisza wokół, aż po dobrze widoczny horyzont i tylko na zbrązowiałych fotografiach jeszcze krzyki kaczek, bekasów, zatrzymane w kadrze. Pradziad z sumiastym wąsem i strzelbą pod pachą na łódce wśród szuwarów, z psem na przedniej ławce...

Czas Ciotki Salomei przypadł na trzy wojny, niewielki oddech i kawał socjalizmu. A zaczęło się jej wszystko pięknie. W majątku cieplickim, który dzierżawiono wtedy od Czartoryskich, w domu, po którym teraz pozostały tylko szmaragdowe stawy, odbijające niegdyś białe ściany... To do tego miejsca tęsknił Pradziad, do tego miejsca powrócił, by zapukać w nieistniejące dziś okno przemarzniętą ręką. Właśnie dom się spობił do skromnej Wigilii, przed drzwi wyszła Prababka.

– A skąd to dziadku idziecie? – zagadnęła.

– Z Sybiru idę, Marysiu.

– Matko Boża Leżajska!... Franciszek!?

Nie ma już tych siedlisk, nie ma ludzi, pozostały za to ulotności, które, wydawałoby się, w żadnym razie nie powinny przetrwać. Jedną z nich jest zaschnięty płatek róży, który odnalazłem w modlitewniku Prababki wraz z opowieścią o nim, jaką zapamiętałem z dzieciństwa. Jak dziś pamiętam tamten wieczór, skondensowany w zachowanym we mnie obrazie Ciotki Salomei grającej na fortepianie, widzianym przez muślin firanki, gdy przez zaśnieżone podwórze wracałem







z naręczem drewna do pieca. Właśnie w chwilę potem podarowała mi modlitewnik.

– I schowaj to, dziecko, bo to wielki skarb – przykazała.

A rzecz się miała tak. Prababka Maria zachorowała uderzywszy mocno kolanem w drzwi. Ze zlekceważonej blahostki wywiązał się ropień, w końcu tak wielki jak główka dziecka, i bólu nie uśmierzały już żadne okłady czy maści. Zawieziono ją więc zaraz po Bożym Narodzeniu do lwowskiej kliniki, a tam uznano, że aby ratować życie, należy nogę szybko amputować. Ciotka Sala, która ją odwoziła, wróciła zdruzgotana.

– Bo jakże to tak, żeby Mamcia bez nogi? Cóż to już za życie... Ona taka ruchliwa... Przecież też nic pewnego, taka operacja. No i wiadomo, co po operacji? A jeszcze nie za zdrowe serce... Więc uchowaj Boże...! Ale co tu robić?

I jedno co Ciotce przyszło sensownego do głowy, to modlitwa. Nieustająca i żarliwa. Pukała do niebiańskich bram z domu, z ogrodu, a przede wszystkim z niewielkiego kościoła za sadem. Tam też, trochę przed prymarią, wydarzył się cud. Modliła się wtedy za wstawiennictwem świętej Tereski, do której miała szczególne nabożeństwo. Prosząc jednocześnie, by – jeśli ją wysłucha – dała jakiś znak, bo niepewność ją zabija. Po świątyni chodził tylko kościelny z błazkiem w ręce i objaśniał świece, były więc właściwie sam na sam – ona, jej modlitwa i Mała Teresa. I naraz zastanowił Ciotkę niezwykle w ziemie zapach. Zapach róż, który poczuła wokół siebie. Zaczęła się rozglądać i jeszcze bardziej dziwić. Otóż przy niej, jak w Boże Ciało, rozsypane były różane płatki. Świeże i pachnące. Zaszło jej w ustach z wrażenia i nie była w stanie zawołać na kościelnego, którego slychać było w zakrystii. Dotykała tych płatków, nabierała je, w dłonie jak wodę, i przykładła do rozgorączkowanej twarzy. Bezgłośnie śmiała się i płakała. W końcu wstała i na chwiejnych nogach poszła szukać kościelnego. Gdy wreszcie wykrztusiła z siebie słowa, nieskładnie powiedziała mu o wszystkim i pobiegli razem zobaczyć cud, zastali tam tylko zwykłą codzienną posadzkę, nie tylko bez kwiatów, ale nawet bez odrobiny zapachu. Wtedy ciotce zrobiło się bardzo głupio pod współczującym wzrokiem mężczyzny. Wyszła nie czekając na mszę i powlokła się przez sad do domu, dumając smętnie nad swą kondycją psychiczną. Z gałęzi osypała się na jej czoło odrobina śniegu, machinalnie więc wyjęła z kieszeni rękę i wówczas zorientowała się, że w kurczowo zaciśniętej dłoni trzyma płatki róż, te sprzed chwili, te, które otrzymała od świętej Tereski. Wtedy rozplakała

się w głos. Nie wracała już, uklękła na ścieżce i nie pamiętała potem, jak długo dziękowała. Rano wysłała konie na stację kolejową, bo dobrze wiedziała, że Prababka Maria z własnej woli we Lwowie siedzieć nie będzie dłużej niż to konieczne. I nie myliła się zbyt, raptem parę godzin musiał czekać woźnica, bo przyjechała wieczorem.

– I żebyś ty słyszała, Salu, te ich cmokania, chrząkania, wzdychania i co tam jeszcze chcesz – dodawała Prababka opowiadając o zaskoczeniu lekarzy, gdy odkryli jej całkowicie zdrowe kolano – to byś się była dopiero uśmieła.

Dziś ostatni z płatków, zachowany w ofiarowanym mi modlitewniku, wisi nad moim łóżkiem, włożony za szkło wyszywanego obrazka świętej Tereski, z którym się Ciotka Salomea nie rozstawała do końca życia.

## WIECZÓR CZWARTY

(Zabawa)

Jest takie miasteczko, które kocham, nazywane Przeworskiem, gdzie każdy kawałek kamienia, każda grudka ziemi mają swoją opowieść, jak to bywa we wszystkich kresowych miastach. Przeworsk, to przecież niegdysiejsza brama Rusi. Przez niego traktem ze Lwowa, przez świetny Jarosław, ciągnęły wiekami karawany kupców do Krakowa i dalej. Szły z mitycznej Arabii ze szlaków jedwabnych... Zajezdne sienie miasta dymiły zapachami. W brukach uliczek pojawiało się coraz więcej wżłobień. Rozwierały się portale w pysznym zaproszeniu. Zielone dzbany ludziły spełnieniem... Po szynkwasach toczył się niejedyn los okruciami srebra. Miarami epok byli tu podróżni. Pył z rynku ścierałi wesółkowie, przechodzący mędrzy. Którejś jesieni stanął w zamku książę. „Sława i chwała twojemu imieniu!”... Książę, dukaty i myśli przeświećne. Nad miastem weszło słońce pomarańczą. Smak cynamonu i wanilli osiadł czerwienią na zdumionych wargach... A potem także królowie bywali.

Nieczęsto jednak gościł tutaj taki spokój. Spadały na mieszkańców chmary znad stepów, dalekich i bliższych. Straszne, nieokiełznane. Po nich już nic nie rosło, a najmniej fortuny. Długo leczyła się podarta ko-

ścianymi piszczalkami cisza. Długo dymił horyzont. Popiół po tym czasie jeszcze się trafia... Oczywiście próbowano zaradzić zarazie, chowano się za mury. I tak do niedawna jeszcze Przeworsk był małopolskim Paczkowem. Ale postępowe umysły Austriaków i rodzimych nowatorów pozbawiły go urokliwych pamiątek po tych, co przed nami... Nie ma dziś murów miejskich, baszt, bram, krenelaży nad tymi bramami... Sam jestem świadkiem zniszczenia za mojej młodości sporego fragmentu muru obronnego i starego cmentarza, na którego poświęconej ziemi, po wyrzuceniu resztek ludzkich i rozbiciu spychaczami pomników nagrobnych, postawiono – miejski dom kultury. Przedziwnej kultury...

Na tym cmentarzu, mrocznym i cichym w Dni Zaduszne, stawiałem światła na płytach pomiędzy opadłymi liśćmi. Bardzo samotne światła, podobne do mnie wówczas.

Zwłoki, kości, wyrwane z tej ziemi, zakopano gdzieś podobno nad Mleczką, rzeką przepływającą przy mieście. Wiem teraz, że i resztki moich bliskich tam były, o czym wcześniej nie miałem pojęcia. Słyszałem, że gdy zsypywano szczątki, zrzucono także zmumifikowaną dziewczynę w ślubnej sukni, w rozwianym welonie...

Mogę przypuścić, jak to się odbyło, ponieważ widziałem także inne przejawy socjalistycznej kultury. Chociażby ten, przy kościele farnym, gdy pracujący tam przy wykopach robotnicy znalezionym na cmentarzystku czaszkom wyrwali obcęgami złote zęby. I wrzucali je do pudełka po butach ustawionego na kościelnych schodach. Robili to bez jakiegokolwiek żenady, w samo południe, paląc jednocześnie papierosy i dowiecipkując. Nawet nie zwrócili uwagi na to, że właśnie przechodziłem. Zdarzyło się to w siedemdziesiątych latach, a wcześniej na miejscu kirkutu urządzono dworzec autobusowy...

Dziś jeszcze tylko stare drzewa we Wszystkich Świętych, tak samo jak kiedyś płaczą liśćmi nad świętą po kres świata ziemią. Coś szeleszcza w listopadowym wietrze. Te same sprzed lat. Te, które pamiętają i groby i pogardę dla grobów. Które przyglądają się także nam.

I tu przypomina mi się jedna z wieczornych opowieści Babki Katarzyny, którą usłyszała od swojej Matki, a ta od swojej. Opowiadała ją za zwyczaj, trochę ironicznie mrużąc oczy przy puencie, tak, że w końcu nie miałem nigdy pewności, czy wydarzenie to miało miejsce naprawdę, a jeśli nawet, to, czy kara za nie była rzeczywista, czy też wymyślona. W każdym razie lubiłem tę opowieść, której słuchałem otulony pierzyną, w dobrym cieple domu.. Deszcz, mgła, śnieg, zmrok zawęzały

przestrzeń światła do paru metrów. Bezpiecznych, jeśli się właśnie było w kręgu światła domowej lampy i z wysokości tego zamku patrzyło na to, co za oknem, na teraźniejszość i przeszłość, z wyrozumiałością sytego kota obserwującego przemykającą mysz. Miło było wtedy dodać nawet do tej sytości szczyptę odległego strachu, bo bardziej smakowała domowość.

– Opowiadano – mówiła raz Babka Katarzyna – że, tu w przeworskim powiecie, dwie wsie rozdzielał cmentarz i chcąc, nie chcąc, gdy się szło do jednej z nich trzeba było przez niego przejść. No i chodzili ludzie, bo cóż było robić. W końcu im ta droga tak bardzo spowszedniała, że nie przywiązywali do niej zbytnej uwagi. Aż raz, chyba w początkach czerwca, pod wieczór, grupka niedorostków poszła na zabawę. A tak się wtedy złożyło, że przy cmentarnym płocie kopano właśnie grób, nowy, ale widać na starym miejscu, bo wyjęto czaszkę i grabarze położyli ją na razie obok, by później zakopać. Zobaczyli ją chłopcy, bo się wyróżniała szarawą bielą na tej kupie piachu. I jak to tacy. Ze było ich kilku, naraz bardzo odważni, zaczęli prześmiewki. „Może pójdziesz z nami? No, bo co ci szkodzi? Jeśli ładna dziewczyna to i zatańczymy. Jakżeś z ziemi wylazła, to już dnia nie marnuj”. A że czaszka milczała, wzięli ją podrzucać, wreszcie grać nią jak piłką. Aż im wpadła gdzieś w krzaki, więc machnęli ręką, no i poszli, już za chwilę nic nie pamiętając o całym zajściu. Bawili się do rana. Pod zabawy koniec, z rzadniejącego tłumu tańczących podszedł do Szczepana, tego co się najbardziej nad tą czaszką znęcał, elegancki mężczyzna, całkiem nieznanomy. Podszedł i podziękował za zaproszenie na zabawę, w rewanżu proponując mu odwiedzenie za tydzień o północy, cmentarnej kaplicy, gdzie też go czekać będą nie mniejsze atrakcje niż tutaj. Młodzieniec zbladł mocno i gdyby się nie uchwycił stołu, upadłby na pewno. Podbiegli zaraz do niego kompani. – A kto? A co? – pytają i szukają zjawy. Nigdzie nic nie znaleźli. Jak kamień w wodę, przepadł nieznanomy. Zmarkotnieli wszyscy i wrócili do domów. Nazajutrz zaczęli obrady, roztrząsanie wydarzeń i na tym stanęli, że ich ktoś na cmentarzu podpatrzył, podsłuchał i zechciał nastraszyć. Ale ulec nie mogą, no bo byłby dyshonor, wstyd dla całej wioski. Trzeba iść do kaplicy, niech się, co chce, dzieje. Pójdą tam jednak wszyscy, no bo jak tu zostawić kolegę w potrzebie. Jak urządzili, tak też się i stało. Chociaż w miarę zbliżania się terminu ochota coraz bardziej malała, aż wreszcie skurczyła się tak bardzo, że najmniej bojowy z nich wziął z sobą różaniec. Nadeszła w końcu pora. Kaplica stała cicha, z otwartymi drzwiami, bo się nie zamykały chyba od stule-

ci, wypaczone przez deszcze i słońce. Obeszli całą, posprawdzali w środku i czekają dwunastej. Zegar wreszcie wybił na dalekim kościele i nic się nie stało. Nawet żdźbło nie drgnęło, nawet liść na drzewie. Sowa się nie zaśmiała, jak to zwykle nocą. Nic. Dodało to im animuszu i wszyscy weszli. Został tylko ten jeden, z różańcem w kieszeni. Poszedł niby za swoją potrzebą i został. Śmiali się jeszcze z niego wchodząc do kaplicy, kiedy drzwi się zawarły naraz z głośnym zgrzytem. A w dwu okienkach pojawiły się światła i cienie na przemian. Przerazenie zjeżyło włosy temu, co pozostał. Ani ruszyć się nie mógł. Począł się więc głośno modlić i na tej modlitwie świt go zastał. A z pierwszym promieniem słońca same drzwi się rozwarły i koledzy wyszli, niesprawnie, trochę jak manekiny, posiwiali jak gołębie, a co najgorsze – straszliwie milczący. Próżno ich wypytywał, przepraszał, zaklinał. Słowem się do niego nie odezwali, jakby nieobecni. Jakoś się od wioski dowlekli, tam wzięto się ich leczyć, ale się nie dało, pomarli niedługo w tej swojej strasznej ciszy. Tylko Szczepan gorzko przed śmiercią zapłakał, nie wiedziano, czemu. Dzisiaj nikt nie wie nawet, gdzie są położeni, jest tylko ta opowieść, którą pamiętam.

Nie całkiem suche polana płonące pod kuchenną płytą skarżyły się, przyskały, dodawały trzaskami swój komentarz do babcinych słów długo jeszcze potem, gdy skończyła już swoją historię. Wpatrzony w ich płomień, widoczny przez otwory drzwiczek i wsłuchany w szum wody gotującej się w czajniku na herbatę, zasypiałem wreszcie. Dziadkowie wtedy zwykle przykręcali lampę, aby mnie nie raziła i gwarzyli dalej.

## WIECZÓR PIĄTY

(Dzwoneczek)

Jestem z pokolenia żyjącego na pograniczu czasów. Z jednej strony żywe wciąż jeszcze były za mego dzieciństwa prawieczne polskie ideały, przedwojenne wartości; z drugiej rozrastała się coraz gwałtowniej, jakby niezauważalnie, kultura bakterii socjalistycznej zarazy. Charakterystyczną była reakcja jakiejś wąsatej miernoty, którą zagadnąłem o coś, mówiąc z kurtuazji: „Proszę pana...”. Na co ona ze złością: „Pany już dawno uciekły do Londynu”.

Ale ludzie bronili się jeszcze. Zdejmowali czapki przed krzyżami. Całowali swych rodziców w rękę, nie mówiąc już o księżach. Żegnali rozpoczynany chleb i całowali przypadkiem upuszczony. I nawet obcy pozdrawiali się imieniem Boga. Trochę to wszystko już dziś egzotyczne i jakby nieprawdopodobne. Na moich oczach odeszła epoka sań podzwaniających na zimowych drogach, okien oblepionych gniazdami jaskółek, wieczornego nieba pełnego nietoperzy, śpiewów majowych przy każdej kapliczce. Dawno już także opadł pył wzniecony przez ostatni cygański tabor, zresztą nie ma już tamtej drogi okrytej topolami przed nadmiernym skwarem; jest ryczący asfalt. Nie ma pieśni śpiewanych w domach przy byle okazji, i jesienno-zimowych odwiedzin sąsiadów... W mojej okolicy minął już czas Starej Polski, takich samych obrazów, tak samo pojmowanych słów, gestów czy doznań. Takiego samego rozumienia historii i sensu przyszłości... Idę w wirującym śniegu myśli... Są rzeczy, których objąć nie potrafię. Choćby tego, że jednak, z drzwi domu, który właśnie odwiedzam, nie wyjdzie już moja Babka, że nigdy nie zaskrzypi, w ten szczególnie sposób, wał studni przy płocie, by mi podać wodę, która mnie ożywiała, gdy wracałem ze szkoły. I nie mogę zrozumieć, gdzie się zapodziała ta dziewczyna z przystanku, o szóstej dwanaście wsiadająca w autobus, na którą czekałem... Ale zmieniło się jednak wiele więcej... Życie mojego pokolenia jest, zdaje się, ostatnim kręgiem fali, którą kiedyś wywołał upadek Wielkiej Polski. My jeszcze słyszymy czasem jej coraz cichsze słowa i rozumiemy jęk poplasku odbitego od zapory komunizmu... Bo to nam jeszcze wieczorami czytano Mohorta, chociaż go wyrzucono ze wszystkich bibliotek i szliśmy poprzez trawy czehryńskie wraz z Kurcewiczówną i pasiecznikiem z lirą... Do dziś brzmi mi w uszach zgrzyt czajek przeciąganych przez poroży Dniepru i słyszę tętent w stepie i już tylko czekam, kiedy wpadnie do jaru, gdzie się rozsiadł chutor. Potem się zniechęcono? Zawstydzono jakby? Poddano zwyczajności odartej z tradycji. Grubą kreską, dla „świętego spokoju”, przekreślono siebie, rzekomo żeby przeżyć... Lecz po co? Nikt nie wie.

Spotkałem także wtedy cień Panny ze Lwowa, Tej, przed którą upadła Polska za potopu i oddała w opiekę wszystkie swoje stany. Cień tylko, bo nikt nie był mi w stanie pokazać Obrazu. Myślano, że pozostał tam, w Wesołym Mieście i wraz z nim zatonął. Ale dźwięk dzwonów słyhać było jeszcze, mimo głębi czasu. Dziś wiem, jest w Lubaczowie... Proszę, Panno Święta, przywróć nam wreszcie pamięć. Obudź nas z letargu. Poprowadź...

Kiedyś wczesną zimą przyjechał do nas, do Jagielly wuj Michał. Dystyngowany. Uroczy w słowach i gestach. Kiedy wchodził, zaczął właśnie padać gęsty śnieg, dużymi mokrymi płatami i niechętnie odebrałem nos od szyby. Dopiero zresztą wróciłem z drogi prowadzącej w kierunku lasu, bo zmarzłem, i śnieżycą całkiem ograniczała widoczność, a święty Mikołaj jakoś nie nadchodził, choć wypatrywałem go od wczesnego popołudnia.

– Boże mój, Michał! – plasnęła w dłonie Babka. Wuj stał w progu ze śniegiem w wąsach. – Wreszcie was znalazłem – powiedział. – Jakżeś ty się tu dostał? – wypytywała Babka – Przejść do drewni trudno... A tu, patrzcie, Michał! – A jakiś chłop mnie podwiózł wozem spod Chałupki... A wcześniej koleją... No i jestem.

Wszedł Dziadek z naręczem drewna. – O, nieprzyjemnie dziś... – zaczął. Potem wysypało mu się z rąk to drewno i jego stukot na długo pozostał mi w uszach i znaczył zawsze coś niewypowiedziane dobrze, a trudnego do nazwania.

Nim przejdę do wieczoru z Wujkiem, muszę powiedzieć o Jagielle, bo była to w tamtym czasie wieś niezwykła.

Pełna życzliwych, serdecznych ludzi. Wielka przestrzeń mojego dziecięcego świata. W centrum stał dom, wokół fale pól, łąk i domów, aż po sine wstęgi dalekich lasów. Przyjechaliśmy tu z Tryńczy i zamieszkaliśmy oczywiście w szkole, której Dziadek był wtedy kierownikiem. Umiejscowiono ją w przewężeniu wsi. Niby w jej środku, a w oddaleniu od domów. Z jednej strony obrośnięty bzami płot przylegał do pól, z drugiej do błonia z niewielkim stawkiem, przy drewnianej remizie, w którym kotłowały się żaby o wielkich złotych oczach i donośnych głosach. Z trzeciej do niewielkiego pastwiska z zasypaną studnią, starą gruszą i równie starą chałupą, w której żył głuchy staruszek. Z czwartej, zaraz za płotem ciągnęła się wiejska droga, ze szczególnym rodzajem aksamitnego pyłu, który sprawiał wielką przyjemność, gdy przelewał się między bosymi palcami stóp, w rozpalone sierpniowe południa. Robiłem tak zwykle biegnąc po coś tam do sklepu, tuż obok. Budynek ten był niezwykle frapujący, bo czasem przywożono do niego tak zwany „blok”, przedziwne słodkie dziwactwo, które jednak smakowało wówczas niezwykle. W dodatku na strychu gnieździły się sowy i stamtąd miałem kiedyś trzy wychowanki, a poza tym do jego wielkiej sali przyjeżdżało czasem objazdowe kino. Za tą drogą był rów, a zaraz na nim krzyż w niewielkim płotku, grób rozstrzelanych w wojnę. Potem dzikie pola, aż po pas olch i kruszyn, gdzie mieszkaly wilgi. Na nich

potem budowano nową szkołę, w bardzo deszczową wiosnę, która się zaczęła połamaniem kwitnących bzów przez śnieżycę. Tam z zalanych wodą piwnic wyłowilem pisklę kawki, przeziebiając się przy tym okrutnie. Była potem ta Kawusia moja przyjaciółką i nieodłączną towarzyszką wędrowek po horyzont, przez długi czas... Poza przestrzenia, niezwykłymi ludźmi i zwierzętami, kochałem jeszcze Jagiełłę za miękkie światło naftowej lampy królującej na kuchennym stole, gdy odrabiałem lekcje, lub wiszącej na gwoździu wbitym w ścianę, gdy nastawał czas długich wieczorów i jeszcze dłuższych opowieści. Po dwu latach jaskrawej trynieckiej elektryczności znowu odpoczywałem w delikatnościach żywego światła. Znowu jak wcześniej w Ujeznej, o szarej godzinie zapalał ją Dziadek i poza kręgiem światła pokój wypełniały wszystkie odcienie szarości, aż po głębokie cienie, w których mieszkała baśń.

Wuja Michała dręczyłem przez całe lata, zmuszając do opowiadania. Moje niecierpliwe: „No i... no i... no i co? Co, Wujku?” prześladowało go pewnie długo... Na swoje nieszczęście, a ku mojej radości, był na froncie włoskim podczas pierwszej wojny światowej i mógł mi w nieskończoność o niej wspominać. Jeden z epizodów utkwiał mi szczególnie. Tak się złożyło, że w którejś z bitew Wujek został ranny. Jakiś rodzaj specyficznego pocisku, z wyrafinowanym okrucieństwem wymyślony przez człowieka w darze innemu człowiekowi, straszliwie rozerwał mu łydkę. Widziałem tę bliznę. Niewielki otworek z jednej strony i ogromną, wyrwaną dziurę z drugiej. Każdego razu musiał zakasywać nogawkę spodni i pokazywać mi tę niezwykłość. Śniła mi się potem po nocach, tak że zrywałem się z krzykiem. Ale widzieć musiałem. A więc ranny Wujek, straszliwie wykrwawiony ocknął się nad ranem w prawie zasypianej granatem transzei. Nigdzie nikogo z żywych. Jakoś się opatrzył i chciał pelznąć do swoich. Lecz sobie przypomniał, że wkoło jest posadzonych pełno min, jak ziemniaków. Wtedy całkiem opuściły go fantazja razem z nadzieją. Pojawiły się obrazy domu, żony i zabolaly bardzo. Położył więc sobie na duszę plaster modlitwy i znużony zasnął. Naraz się obudził słysząc dzwoneczek. Taki od załubek. Zdziwił się bardzo, ale i ucieszył, bo to coś tak znanego, tak bardzo drogiego. No i niewiele myśląc popelznął za tym dźwiękiem. Tam, gdzie on go prowadził, w tę stronę się czołgał, aż się dowlókl do swoich. Nigdy się nie dowiedział, kto tym dzwonkiem dzwonił. Dzisiaj pewno już wie to...

A mnie dźwięczą słowa, takie jak to – Jagiełła, na zimowej drodze.

## WIECZÓR SZÓSTY

(Deszcz)

Klucz do furt dzieciństwa, do bramek przeszłości, za którymi to wszystko cośmy utracili, stanowi zwykle drobiazg. Nadłamana zapalka ze spodu kieszeni. Pomarszczony kasztan, co upadł pod łóżko. Wgnieciony paperek po ślazowym cukierku. Jakiś ślad zapachu. Ulotny, a przez moment jakby przypomniany. Już się go miało schwycić, nazwać... już otwierał jakiś drogi nam obraz... Rozwiał się, nim żeśmy go pojęli, próżno go gonić teraz po meandrach myśli... Tak nagle zgasło to wspomnienie, czegoś nienazwanego a bardzo drogiego, że pustka aż boli...

Mam świeczkę choinkową, białą, poskręcaną, ostatnią z paczek, jakie Babcia trzymała w kuchennym kredensie, w którego wnęce układałem szopki. Z waty, plasteliny i kawałków kory. Tam się ukonkretniało coroczne marzenie... Wiatr zza tej furty drogiej miecie śniegiem czasu, tak, że łzami zachodzą oczy i trudno rozeznaczyć już wszystkie szczegóły. Ale wiem, zaraz będzie Wilia. Przy świecach serc zasiądą wszyscy domownicy do barszczu, ryb i kutii, podzielać się Słowem... Mam także wycinankę z szopki Kazika, z którą chodził po domach. Podobnej trochę do tych spod Krakowa, z wieżyczkami po bokach, w których się kręcili nad płomieniem świecy tekturowi pasterze, husarze, królowie...

I mam piórko ptasie jaskółki chowanej przez deszczowe lato, kiedy muchy musiałem podkradać pająkom, bo tak ich było mało. Miała wrośniętą łapkę pod powłokę brzucha, zrobiliśmy jej z Mamą wielką operację wyparzoną żyłką. I gdy któregoś dnia wreszcie zaświeciło słońce, jak rozlane żółtko w parującej wilgoci, ozdrowieniec pofrunął do innych. Czasem ją widywałem potem, krążyła mi nad głową. Niewielka i szybka w obłoku szczebiotu...

Mam także grudkę stężałej żywicy, którą płakał Chrystus w tym pniu wielkiej sosny, prawie w środku lasu. Wycięto w nim Bożą Mękę bardzo dawno temu, ale żywica jeszcze skapywała czasem i pachniała w słońcu...

I mam w sobie obraz deszczu, który jednego roku zalał całe lato. Położył zboża, porozmywał drogi. Zniszczył wakacje.

Był wszędzie. W myślach, w słowach, w westchnieniach, modlitwach. I nie dał się zapomnieć, bo pukał bez przerwy. I wtedy Babka, wraz z wilgotną pościelą zniosła mi raz ze strychu tę przypowieść wieczorną, którą tu przytoczę:

Był sobie kiedyś deszcz, który zakochał się w niewielkim goździku, rosnącym w cieniu olbrzymiego dębu. Ponieważ oglądał go rankiem, jeszcze wówczas, gdy był tylko mgłą, przez mgnienie, nim kwiat się obudził.

– Czy mogę usiąść na twoim płatku? – spytał troszeczkę później.

– Och, możesz – odparł ziewając goździk.

I deszcz wpłynął na płatki kwiatu. Przytulił policzek i patrzył z zachwytem, jak staje się przezroczysta kroplą, która mieszając się z żółtym pyłkiem kwiatnym nasiąka słońcem.

– Wiesz, chciałbym stać się chmurą – wyszeptał deszcz w aksamitny puch kwiatu - ogromną i ciemną. Popatrzeć stamtąd w dół, na to, co już tak dobrze wszyscy znamy, że nawet nie warto o tym opowiadać. Zobaczyć wszystko od nowa i inaczej. Popatrzeć na wszystkie przyłaszczki, krwawniki i niezapominajki. Zawołać na nie. A wieczorem w szumie i śpiewie spaść na dom w ogrodzie, rozpryskać się śmiechem o okna i rynny. I opowiadać o tym, co się widziało, nawet i rynnem.

– Już lepiej być obłokiem – uśmiechnął się goździk – puszystym obłokiem, różowym może, podobnym do mnie, co rozmawia ze słońcem.

– Tu również można mówić ze słońcem – powiedział deszcz, patrząc na nieśmiały promień, który właśnie uczynił go świetlistą perłą.

– O, tak – westchnął rozmarzony kwiat – ale tu słyhać jedynie jego szept, cudownie lekki i...

Właśnie wtedy nadleciał trzmiel, taki sam jak wszystkie trzmielce.

– Ciągłe ta rosa, albo deszcz – warknął. – Chciałem cię wczoraj odwiedzić, mój drogi, ale oczywiście znowu padało.

– To wspaniale, że w ogóle jesteś – powiedział kwiat i zapachniał.

Deszcz strącony jedną z nóg trzmiela leżał w korzeniach trawy. Roztrącany przez biegające mrówki czuł jeszcze zapach kwiatu i słyszał resztki rozmowy, które spadały aż tutaj. A potem pojął, że z każdą chwilą staje się już tylko bardziej wilgotną ziemią. Obudził się dopiero wieczorem, jako cieniutka warstewka kropli na liściu pewnej koniczyny. Goździk już spał. Rozchyliwszy leciutko brzegi płatków uśmiechał się do wschodzącego księżycy.

– Nawet nie jest mu smutno – pomyślał deszcz.

Rano słońce spełniło marzenia mgły i nim jeszcze zbudził się kwiat, deszcz unosił się już ponad trawami i poznawał tajemnice kory dębu. Gwałtownie przeciskał się pomiędzy liśćmi. I w połowie drzewa natknął się na trzmiela, który próbował zobaczyć coś w dole.

– No, i teraz znowu mgła – sapał trzmiel. – Brr... co za mgła.

Deszcz musnąwszy trzmiela przyłgął do jego skrzydełek.

– To już nie do zniesienia – jęknął grubas i spróbował pofrunąć.

Ale nasiąknięte deszczem skrzydła przywarły do boków i począł spadać, nie słysząc wcale zwycięskiego śpiewu wroga. Tuż przy ziemi, nim deszcz zdołał ochłonąć z nienawiści, słońce oderwało go od skrzydeł owada i uniosło w nieznaną. O zachodzie był już różowym obłokiem. Drugiego dnia zaś rozmarzonym cumulusem próbującym wyobrazić sobie kwiat pośród traw. Przypominał sobie, co goździk mówił o obłokach i zapragnął stać się najpiękniejszym z nich. Nie wiedział jednak, jak może wyglądać najpiękniejszy. Stawał się więc raz podobnym do cienistego parku, innym razem do wyspy oplukiwanej przez niebieską wodę, to znów do drzewa o potężnych konarach i złotawej rzeczki z kąpiącymi się niezapominajkami i niewielkimi rybkami ze słońca, w końcu tym wszystkim, co kiedyś widział i zapamiętał.

I tak mijaly dni. Deszcz zapomniał już całkiem o tym, w jakim celu stał się obłokiem. Unikał słońca, które chciało z nim rozmawiać. Całymi godzinami walczył z wiatrem o to, by móc jak najbliżej znaleźć się drzewa, z którego cienia, jak sądził, obserwował go kwiat. Z czasem dąb, obojętny i wyniosły, stał się dla niego najdroższym punktem w nieskończonym świecie, a on sam szarawą, napełnioną tęsknotą chmurą, która czasami tylko opuszczała drzewo i podpływała nad staw, by się w nim przejrzeć, łudząc się, że obraz, jaki widzi, jest tym, który dostrzega kwiat. Słońce świeciło mocno, trawy przywiedły i nabrały złotawego odcienia. Tymczasem chmura nad dębem stawała się coraz bardziej posepna i ciemna. W którejś południe zgubiła pierwsze krople, a potem nie zważając na nic rozpląkała się na dobre.

Zaszumiała po wędnących liściach i opadła w koniczynę.

– Czy widziałeś mnie, gdy byłem obłokiem? – spytał cichutko deszcz, ale kwiat nie odpowiedział, prostował ożywające płatki i znów czekał na trzmiela. A kiedy deszcz spytał ponownie, niecierpliwie mruknął: – Nie. Skądże. – A po chwili namysłu dodał ciepłej: – No i cóż tam widziałeś?

No i może właśnie dlatego mamy teraz taką pogodę – podsumowała Babka.



## WIECZÓR SIÓDMY

(Historia małego taka)

Pradziadkowie Zawadzcy, Dziadkowie mojej Mamy, utracili majątek w Powstaniu Styczniowym. Ich dzieci miały się różnych zajęć i przyzwyczajały do różnych miejsc. Jednak pamięć o dawnej wielkości rodziny przekazywano w zimowych opowieściach. Ta wielkość, to był zwyczajny dwór polski, w topolach, polach i gruszach na miedzach. „Choć niedługo, nieszeroko, lecz głęboko i wysoko” mawiano wtedy o takich latyfundiach. A jednak nic nie było wartościowszego na ziemi nad ten skrawek wolności. Stąd też jeden z ich synów – Antoni, sam będąc już tylko numerowym na kolei, postanowił swoje dzieci ponownie nobilitować na nowy sposób – nauką. Dodać trzeba, że jego żona Katarzyna Meza, pochodziła po swoim ojcu z majątnego węgierskiego rodu, ale po przodkach otrzymała także tylko pamięć o przeszłości, nic więcej. Ojciec uciekł z Węgier, gdy dopalało się węgierskie powstanie i próbował jakoś żyć w Galicji. Powrócić nie mógł, pieniędzy nie miał, pracować ciężko nie potrafił, czy może nie chciał. Grywał więc czardasze po weselach, tęsknoty leczył winem, w przypływie fantazji ożenił się, a potem już tylko czekał na lepsze czasy. Te nadeszły i przeszły niezauważone. Los zrobił mu perskie oko, tak że dopiero po jego śmierci, ze znalezionej przy torach I.K.C.-a dowiedziano się, iż był poszukiwanym spadkobiercą 25000 koron w zlocie, które, jako że właściciel się nie zgłosił, przeszły właśnie na własność państwa węgierskiego. Odtąd miano w rodzinie uzasadniony wstręt do gazet. Jednakże wydarzenie to jeszcze bardziej umocniło jego zięcia w przekonaniu, że dzieci swoje wykształcić musi, bowiem jak mu się wydawało, wiedza jest jednak lepszym sposobem pomnażania majątku niż czardasze, choćby i najbardziej skoczne. A wyczekiwanie na spełnienie marzeń także może nie do końca okazać się skuteczne, bowiem można doczekać się całkiem czego innego, niż się oczekiwano. Jedynie zdobyta wiedza dawała pewność zmiany swego losu, który, w co wierzone powszechnie, trzeba mocno ująć w swoje ręce. Jak pomyślał, tak zrobił. Synów swoich przekształcił. Jeden został stolarzem, prawie artystą, drugi świetnym słuszarzem, a dwaj nauczycielami, z czego jeden, dzięki gorącym modłom Prababki i pracy ponad siły Pradziadka, ukończył studia wyższe. Naj-

zdolniejszy z dzieci – mój wuj Stanisław. I jemu chcę poświęcić trochę więcej uwagi.

Jak jego matka Katarzyna gorąco wierzyła w Boga, tak on uwierzył w naukę i rwał dumnie smakowite owoce z wiadomego drzewa. W końcu uwierzył tak mocno, że doszedł do wniosku, iż wszystko, co nienaukowe, nie ma sensu. Było może nawet i dobre dla starożytnych rybaków z Galilei, ale co najmniej wstydlive dla światłego Europejczyka z Łańcuta, z którego pochodził. Pamiętam go z nieodłącznym papierosem między zrudziałymi palcami. Wtedy jeszcze nauka nie mówiła o szkodliwości palenia, wręcz przeciwnie, ciągle bajała o leczniczych właściwościach tytoniu. Swą fizjonomią przypominał Woltera. Tak jak tamten był szczupły i jak tamtemu błąkał się po ustach ironiczny uśmiešek. Zajmował go bez reszty nauki ścisłe i rolnictwo, oczywiście pojmowane na sposób naukowy. Szerzył więc po wsiach nowoczesne sposoby uprawy roli, z wielką atencją odnosząc się do chłopów, zgodnie ze swymi socjalnymi przekonaniami. Ożenił się z panną z dworu w Cieplicach za Sieniawą, najstarszą córką moich drugich Pradziadków, Andą. Zachowało się trochę pocztówek, które wysyłał do swojej młodziutkiej żony z włoskiego frontu w 1915 roku. Pisane ładnym kaligraficznym pismem, zaczynają się zwykle słowami: „Najmilsza moja i najukochańsza żonieńko!”. Potem słowa lecą jak ptaki jesienią i dotyczą spraw najprostszych a najważniejszych: zdrowia, tęsknoty, nadziei i miłości; i kończą się zwykle: „Całuję w buziuchnę i rączki ściskam najgoręcej i najserdeczniej pozdrawiam. Twój Stach.” A na wszystko to patrzy groźnie, choć dobrotliwie, sam cesarz z zielonych znaczków po 5 halerzy sztuka. Już tylko śmieszny teraz, na początku innego wieku. Po tej wojaczce został Wujowi do końca życia przykurcz palców lewej ręki wywołany postrzałem. Ale być może on właśnie uratował mu życie, pozwalając powrócić do domu, bo karabinu już utrzymać nie mógł. Niedługo potem znowu życie uśmiechnęło się do niego, obdarzając pierwszym potomkiem i sporą wygraną na loterii. Ten drugi uśmiech pozwolił na zaspokojenie najskrytszego a największego marzenia Wuja, kupno majątku ziemskiego. Wybór padł na Czarnów pod Kielcami. Tu mógł wreszcie wypełniać swoje teorie realną treścią. Czytał, rekultywował, eksperymentował, przewidywał, analizował, syntetyzował, systematyzował, udoskonalał, bratał się i dystansował, zależnie od okoliczności. I dokupywał ziemię, maszyny, sprzęty i książki, dotąd, aż tuż przed drugą wojną światową, miał już prawie wszystko, niestety to wszystko w jednej chwili utracił. Pozostała mu tylko garść zdjęć po tam-

tym czasie, łącznie z tym, na którym widać w oddaleniu wygodkę w rogu ogrodu, na której niestety nie było napisu podobnego temu, który wspomina Gloger: „Tu jest skład wszelkich starań i zabiegów ludzkich”. W wypadku Wujka był to niestety krach bez dowcipu. Ale nim do niego doszło, przydarzyło się coś jeszcze, w pewną jesienną, zadeszczoną noc, o czym Wuj do końca życia nie lubił wspominać, bo stało to w jawnej sprzeczności z całym jego racjonalizmem i innymi „izmaciami”, które wyznawał. Coś, co jednak koniecznie trzeba ocalić od zapomnienia, bo stanowić powinno rzeczywistą puentę życia niejednego empirysty.

Śluchało się zawsze tej opowieści z wypiekami na twarzy i w miarę snucia wątku przez opowiadającego przysuwało się coraz bliżej do światła lampy, gdzie wszystko było oczywiste, a nie domyślne jak w półcieniach. A opowiadali ją bracia Wujka, a potem jego dzieci, które były świadkami wydarzeń. Najładniejszą była chyba wersja dopełniająca powiedzonkiem „Tak, panie, tak”. W każdym razie, po historii z włożonym sąsiadowi do komina domu dzwonkiem uwiązany na sznurku i podzwanianiem nocami, co skończyło się aż egzorcyzmami, ta była najbardziej wyczekiwana opowieścią.

A rzecz miała się tak: któregoś nocy zbudził domowników Czarnowa łomot na strychu. Tak, jakby nagle spadło wieko potężnej skrzyni, która stała na nim od dawna zamknięta. Kiedy sobie to uświadomili, pobudzili służbę i przyświecając wleźli na strych. Nic tam jednak nie znaleźli. Skrzynia stała jak zawsze wielka i milcząca. Zresztą pełna była rupieci, więc w żadnym razie nie mogła wydać takiego odgłosu. Strych sprawdzono i zamknięto. Nie upłynęło jednak długo, gdy hałas się powtórzył i to kilkakrotnie. A w dodatku ktoś zastukał w okno saloniku. Palcami w szybę. Co wywołało oczywistą histerię kobiet i spory niepokój mężczyzn. Pobudzono więc wszystkich w majątku i zaczęto szukać. Ze ścianami i psami.

Ale niczego nie znaleziono. Kiedy jednak pogaszono lampy i zaczęło się uspokajać, wszystko powtórzyło się jeszcze gwałtowniej. Szczególnie natarczywe było łomotanie w szybę. Co ciekawe, psy nie reagowały. I tak to trwało do świtu. Potem ustało, ale nikt już nie zasnął. Rankiem szukano śladów pod oknami w rozmięklej ziemi, ale ich nie było... Około południa przyjechał listonosz z telegramem informującym, że dzień wcześniej zmarł Ojciec Wujka, Antoni, który nigdy u syna na gospodarstwie nie był, może ze względu na podeszły już wiek, ale może i dlatego, że nie pochwalał jego poglądów, przynajmniej tych najważ-

niejszych, które dotyczyły wieczności. Wszyscy natychmiast połączyli te dwa zdarzenia w jedno i nazwali je „Odwiedzinami”. Jeśli tak rzeczywiście było, to Pradziad Antoni jednak niewiele osiągnął, bo cała ta historia nie zrobiła na Wuju widocznego wrażenia. No, może tylko takie, że na jej wspomnienie mocno się zasępiął i marszczył. Była w końcu czymś jedynym, jak mu się wydawało, czego nie mógł zrozumieć...

Ponieważ jeszcze pali się lampa i świerszcze nadal cykają w zegarze wieczoru, marzy mi się przywołanie kiedyś opowieści z nocy czerwcowych, tych, które zaczynały się zwykle na progu otwartych drzwi domu i jak pogodnie kolorowe ćmy krążyły nad naszymi głowami, mając w tle radosny rechot żab z pobliskiego bajorka... Ale teraz już najwyższa pora iść spać.

## WIECZÓR ÓSMY

(Jurek)

Tę historię przeżyłem sam i sam się muszę z nią uporać. Było to na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. (Kiedy się napisze takie jak to zdanie, dopiero wtedy widać, jak upływa czas). Pracowałem w szkole w Dzikowcu i tu odnalazł mnie ponad czterdziestoletni wtedy człowiek, dosyć niezwykły jak na miejscowe warunki. Do dzisiaj nie wiem, kim był naprawdę. Przed czym uciekał, czego poszukiwał.

Miałem wtedy około dwudziestu pięciu lat i mało mnie to właściwie obchodziło. Stwierdził kiedyś, że jest synem przedwojennego fabrykanta, chyba z Katowic, i nosi w sobie obraz porozbijanej domowej porcelany, w dosłownym tych słów znaczeniu, dlatego doskonale rozumie głębię Miłoszowego (w Miłoszu żeśmy się wtedy rozczytywali) refrenu: *Niczego mi, proszę pana, tak nie żal jak porcelany...*

Tyle tylko wiem z jego przeszłości, bo o więcej nie pytałem, choć ludzie rozpowszechniali mniej albo bardziej wysrane z palca sensacje. Napomknął też kiedyś, że żona mu uciekła z jakimś tam milicjantem. Miał z nią syna, którego poznałem, jak ojciec uzdolnionego plastycznika.

Bo Jurek był przede wszystkim malarzem, choć może głównie artystą, rzeczywiście, w całym tego słowa znaczeniu. Ostatnim chyba z dawnej bohemy, jakby jeszcze młodopolskiej.

Elokwentny, błyskotliwy erudyta trwonił życie na zachwytach i pijaństwach. Kochał się w okolicznych krajobrazach i lasach, które dla siebie odkrył, o które walczył z drwalami i w których próbował zamieszkać. Drugą jego miłością były kobiety, jednak dla tych, na których mu zależało, był już niestety zbyt stary.

Zamykał się więc w samotności wynajmowanego domu (na skraju lasu, w miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi), którą wypełniało bez reszty malarstwo i lektura książek.

Kiedy się tym zmęczzył ponad miarę, wpadał w krótsze albo dłuższe ciągi alkoholowe, podczas których spełniał swoje fantazje i fraternizował się z okolicznymi chłopami.

Nawiedzał ludzi o nieprzyzwoitych porach, tłukł się po dalekich bezdrożach taksówkami, zwożąc pannom kwietne bukiety, rozrzucal perły skojarzeń, śmiał się ze świętości, kpil z – jak mawiał – wszelkich transcendencji i na sposób Stańczyka zamyślał nad tym, co to „nic, panie, nie warte”.

Najogólniej rzecz biorąc rozsiewał wokół bakcyl szczególnej pustki o pozorach niewyobrażalnego wprost bogactwa, którym i mnie zaraził, bo byłem wtedy wyjątkowo nieodporny na takie pozory arystokratyzmu ducha. (O czym może napiszę kiedyś w innym miejscu). Tym to sposobem trwonił swój czas i psuł życie tym, z którymi się zetknął.

Bawiąc się paradoksami wysokiego lotu, niepostrzeżenie wpadł w pułapkę panabsurdu spełniania swoich przyziemnych kaprysów. Ciekawiły go wtedy między innymi przeróżne „anomalie społeczne”, jak chociażby znachorzy i jasnowidze. Zawlókł mnie kiedyś do takiego człowieka. Wyjętego jakby z innej epoki; prawdziwie leśnego, to jest żyjącego w głębokiej symbiozie z naturą, w którego oczach czaiło się coś niepokojąco nieokreślonego.

Pamiętam, że wróż, męczony pytaniami Jurka, przepowiedział mu rychłą śmierć, co ten skwitował wzruszeniem ramion i nieudawanym westchnieniem ulgi.

Trzeźwy unikał ludzi i mało kto mógł poszczycić się tym, że wpuścił go do swego domu.

Czasem w tym stanie mnie odwiedzał. Trwoniliśmy wtedy godziny na jałowych rozważaniach, wygłaszaliśmy szokujące nas sądy, przy których paradoksy Wilde'a – jak nam się wydawało – prezentowały się ra-

czej marnie; wypuszczaliśmy fajerwerki niezwykłych skojarzeń... z czego nic nie wynikało poza postukiwaniem w bębenek naszej próżności.

I po takich seansach nihilizmu miało się zwykle większego kaca niż po królującym wtedy zaczerniańskim piwie o smaku końskiego moczu, jak stwierdzali „smakosze”.

I tak toczyły się te lata późnego socjalizmu w zawiesinie swoistego kogla-mogła trzeźwości z nietrzeźwością, nudy z poronionymi entuzjastami, nicości z wielością, od której bolała głowa.

Aż nastąpił taki czas, dziwny czas... kiedy nie przyjechał do mnie ten Majster Bieda na swoim żółtym rowerze.

Nie zdziwiło mnie to zbyt, bo do rytuału naszej znajomości należała niedookreśloność jego pojawień się i zniknięć.

Był właśnie czerwcowy, upalny czas wielkiego truskawkobrania, kiedy zdałem sobie sprawę z przedłużającej się ponad miarę jego nieobecności. Potem nadciągnęły chłodne zadeszczone dni.

W przerwach między deszczami porządkowałem, zgodnie z zaleceniami mojego ówczesnego guru – Woltera, swój ogródek, w bardzo dosłownym tego słowa znaczeniu.

Układałem kamienie, przesadzałem rośliny i naraz w jakimś, trudnym do określenia, momencie zacząłem czuć smród padliny. Coraz bardziej intensywny i natrętny.

Zacząłem więc szukać jego źródła. Myślałem, że zapach wydobywa się z jakiegoś zdechłego zwierzęcia, które leży między roślinami, a może płytko w ziemi.

Nic takiego jednak nie znalazłem.

Tymczasem fetor zaczął być coraz bardziej nieznośny i nieumiejscowiony.

Słowem – śmierdziało mi wszystko obrzydliwie.

Wielekroć myłem ręce i zmieniałem ubranie, wpadłem nawet jakby w rodzaj fobii na tym punkcie. Niczego to jednak nie zmieniło. Mdlący smród był coraz silniejszy i wszechobecny. Czulem jednak tylko ja, mimo tego, że prosiłem domowników, by mnie obwąchiwali. Nikt niczego nie czuł, a ja niewypowiedzianie cierpiałem.

Dziw ten, całkiem nie do pojęcia, trwał chyba tydzień. Potem jakby zmalął i przygasł, ale był nadal obecny.

Aż któregoś dnia zbudził mnie natarcywy telefon. Dzwoniła Ruta, przyjaciółka Jurka. Przyjechała, by go odwiedzić i zabrać nowe obrazy, na które czekali jej znajomi w Holandii.

Kiedy zbliżyła się do domu Jurka, zobaczyła roje granatowo-złoty much, którymi oblepione były okna i poczuła wydobywający się przez szpary ohydny fetor.

Obraz, jaki potem zobaczono we wnętrzu, pozostawiam wyobraźni czytelnika, dodam tylko, że siostra Jurka, którą Ruta natychmiast zawiadomiła, a która od lat jest lekarką, mówiła nam, że czegoś takiego nigdy wcześniej w swoim życiu nie widziała.

Na łóżku w kuchni leżała rojąca się od much galareta, a obok na krześle rozrzucone kartoniki z tabletkami relanium...

Jurka pochowano na Salwatorze w Katowicach i chyba w tym samym dniu rzeczywistość przestała mi śmierdzieć.

Ale to nie wszystko o nawiedzających mnie wówczas zapachach. W niedługi czas potem któregoś wieczoru moją małżeńską sypialnię wypełnił aromat przedniego południowego wina.

Tym razem intensywny zapach poculiśmy obydwój z żoną, a że nic tutaj nie mogło tak pachnieć, powiedzieliśmy sobie jednocześnie: Jurek!

Takie to było jego pożegnanie z nami, poniekąd ironiczne, bo wina o takiej woni w żadnym z polskich sklepów nie sposób było wtedy kupić.

Swoją drogą, gdybym sam był tego wszystkiego nie przeżył, nigdy bym w to nie uwierzył. A tak wiem, że to prawda. Długo zeszło, nim zrozumiałem jej sens i wartość.

Dokładnie tyle, ile moje nawrócenie.

Dziś, modląc się za duszę Jurka, myślę ze wzruszeniem o jego, niejako w ostatnim momencie, ukonkretnieniu nieukonkretnionego. O swojej, jakże istotnej, erracie do naszych rozmów. Dużo droższa mi ona dzisiaj niż jego ostatni obraz, który wisi na mojej ścianie, czy nawet pamięć, która po Nim pozostała.

Dziękuję, przyjacielu.

## OPOWIEŚĆ ZIMOWA

(dodatek)

Właściwie ta historia może z powodzeniem znaleźć się w „Księdze Lampy Naftowej” obok tych, które przynosili do nas w prezencie przychodzący goście, chociaż usłyszałem ją stosunkowo niedawno.

Rzecz się miała tak. Natasza S., Rosjanka, opowiadała mi o przedziwnym ciągu zdarzeń w jej życiu. Dodać tu należy koniecznie, że jest nieodrodnym dzieckiem socjalizmu i poza jej babcią nikt w domu się nie modlił, nie mówiąc już o odwiedzaniu cerkwi. Wszystko zaczęło się to w ten sposób: Natasza w wieku dziewięciu lat mieszkała w Moskwie i miała przyjaciółkę Ludę, z którą codziennie się bawiła po odrobieniu lekcji. Luda przychodząc zawsze dwukrotnie dzwoniła do drzwi, a wtedy Natasza wychodziła i zbiegały po schodach na podwórko przed blokiem. Któregoś dnia, kiedy była w domu tylko z sześciolatnim bratem, dzwonek zadzwonił w umówiony sposób, złapała więc płaszcz, a braciszek w międzyczasie otworzył drzwi. Zobaczyła wtedy za nimi przedziwnego człowieka. Zgarbionego nienaturalnie, bezzębnego, z krwią w kącikach ust, ubranego w długi ciemny płaszcz podobny do chałata i w czapkę, jakiej nikt nie nosił, także ciemną, rozszerzaną ku górze i przyklapniętą. Na ramionach miał płachtę wypełnioną jakimiś kanciąstymi przedmiotami. Postać stała dłuższą chwilę przed przerażoną dziewczynką, nim ta wreszcie wykrztusiła do brata:

– Zamykaj drzwi!

Wtedy niezwykle gość wybelkotał parę niezrozumiałych słów. Zatrzasnęła drzwi, ale nim się uspokoiła dzwonek zadzwonił ponownie w ten sam sposób.

– Nie otwieraj, nie otwieraj! – wrzasnęła, ale brat niczego nie pojmując otworzył. Na progu stała Luda.

– Widziałaś dziada?! – krzyknęła Nataszka.

– Jakiego znów dziada?

– Był tu dopiero co, nie mogłaś go nie widzieć!

– Nie widziałam.

– Jak nie widziałaś? Przecież nie minęło i dwie minuty jak był. –

Powiedz jej, Saszka...

– Ja tam nikogo nie widziałem

– Jak nie widziałeś?!

– No, nie widziałem i już.

– Ot durny, jak nie widział?!... Chodź, Luda, może poszedł do góry. Przebiegły schody od strychu po piwnice i nie spotkały nikogo. Minął czas i Natalia miała już 19 lat, wtedy właśnie znajomy, który miał zostać w przyszłości popem, poprosił ją o uczestniczenie w cerkiewnym obrzędzie. Cóż było robić, prosił, więc poszła i przeżyła szok, stanawszy przed dużą ikoną umieszczoną w ikonostasie, a przedstawiającą ją w jotę „dziada” z jej dzieciństwa. Był nim święty Serafin. Obok postaci umieszczono słowa, które wtedy wypowiedział, a które okazały się być dewizą jego życia. Wstrząs dla dziewczyny był duży, ale jakoś udało się jej z czasem go zbagatelizować. Znow przesunął się czas. Natalia ćwiczyła zapamiętane jogę i w wielkiej niechęci miała religię. Któregoś dnia w tramwaju podeszła do niej staruszka, proponując kupno książeczki, wysuplanej z zawiniątka. Za 10 rubli, to jest dokładnie za taką kwotę, jaką właśnie posiadała Natalia i która stanowiła jej cały majątek, coś jednak było takiego w głosie staruchy, że dziewczyna książkę kupiła. Bo: „Co masz nie kupić, jak ci ona koniecznie potrzebna” – mówiła babuszka. Książka okazała się być wydaniem jeszcze przed rewolucją „Żywotem świętego Serafina”. Dowiedziała się z niego, między innymi, że święty został w młodości dotkliwie pobity przez bandytów, stąd jego kalectwo i wybite zęby, a także to, że dla większego umartwienia się nosił potem w płachcie na plecach cegły. Po przemysłeniach postanowiła modlić się odtąd do świętego i co szczególne – modlitwy te były wysłuchiwane, ale nie te wypływające z fantasmagorii marzeń, lecz takie, które wynikały z rzeczywistej potrzeby. Przemknęły lata. Natalia poznała Polaka, z którym postanowiła połączyć swój los i wyjechać do Polski. Parę dni przed wyjazdem przyszła do niej nieznajoma zakonnica z dziwną, ale i zastanawiającą, zważywszy wszystko, co się wcześniej wydarzyło, propozycją wspólnej pielgrzymki do sanktuarium św. Serafina w Sarowie. Zaskoczona i zbulwersowana Natalia odmówiła, no bo jakże pielgrzymować w takiej chwili? Po co? Dlaczego?... Dziś jej małżeństwo nie jest szczęśliwe, a Natalia próbuje malować (pisać) ikony. Nie ma wśród nich jednak świętego Serafina...

Inne, ale równie niepokojące spotkanie miał mój stryj Janek. Późną jesienią, a właściwie wczesną zimą, wracał któregoś razu ostatnim pociągiem do domu. Ze stacji kolejowej przejść musiał około trzech kilometrów przez puste pola do wsi rozłożonej w dolinie. Noc była wietrzna i księżycowa, chociaż co jakiś czas mżył drobniutki deszcz i wtedy było ciemno. Złożyło się tak, że tylko stryj wtedy wysiadł na przystanku i sam musiał wędrować; cóż to jednak kłopotliwego, był przecież

młody, a droga nie taka trudna. Postawił więc kołnierz kurtki, ręce wcisnął do kieszeni i poszedł wzdłuż torów. Przyjemnie nie było, bo ziąb przenikał, w dodatku pojawiały się niezbyt wesołe myśli, gdyż przechodził obok wypalonych bloków nastawczych, przy których w wojnę pomordowano ludzi. Zagłuszał je więc pogwizdywaniem. Wreszcie ścieżka przy torze skręciła w pola, teraz trzeba było jeszcze przejść obok cmentarza i już zaraz wchodziło się w wieś. Schodził ze wzgórz, kiedy przed nim zamajaczyła ciemna postać, jakby ze skrzydłami, które, gdy podszedł bliżej, okazały się podrywany przez wiatr rogami zwykłej chusty, jakie nosiły wtedy wieśniaczki. Stryj odetchnął z ulgą i podchodząc bliżej do nieznajomej zażartował, chcąc jednocześnie dodać sobie animuszu:

– A nie boicie się tak sami po nocy chodzić?

Kobieta nie podniosła głowy, więc nie zobaczył jej twarzy, odezwała się jednak głosem tak niskim, że aż upiornym:

– A ty się nie boisz?

Efekt tego niewinnego przecież pytania, był taki, że stryj nie odpowiadając na nie, wyminął ją i zaczął biec. Po dobrych kilkudziesięciu metrach zerknął za siebie w panice, czy aby jest dalej sam. Tak, był sam, co więcej – nigdzie nie widział dopiero co spotkanej istoty. Księżyc właśnie świecił jasno i nie sposób się było przed nim schować, bo ani rówów tam nie było, ani krzaków, ani rozpadlin. Stwierdzenie tego faktu podniosło stryjowi włosy na głowie i sam nie wiedząc kiedy znalazł się w domu...

Znam jeszcze parę relacji z takich nie do końca rozpoznanych spotkań, ale by teraz nie zanudzać, przedstawię je innym razem.

Z KSIĘGI  
PŁASKU

Miłość jest ważniejsza niż racja.

To nieprawda, że w zdrowym ciele zdrowy duch. Przeczy temu chociażby Marta Robin.

Pieniądze są tyle warte, ile wartości im przydajemy.

Wyciągam z życia sens jak utopione wiadro ze studni.

Kochać kogoś, to znaczy zapomnieć o sobie.

Nauka zbanalizowała cud świata.

Jak kamień rzucony w wodę każdy czyn wywołuje kręgi przez pokolenia.

Każdy ma świat na swoją miarę.

Czyjś spokojny oddech może być najpiękniejszą muzyką świata.

W okupację niemiecką mój internowany dziadek natknął się w korytarzu rzeszowskiego zamku, będącego podówczas więzieniem, na Lubomirskiego eskortowanego przez esesmanów i usłyszał od niego przy wymijaniu: „Serdecznie witam w siedzibie moich przodków i (tu zrobił wymowny gest ręką) przepraszam za służbę”.

Zdarzenie, bierze się, co dawniej wiedziano, od daru.

W murach dawnych kościołów ciągle kłęczy starożytna Polska i modli się za nas.

Zło jest najzwyczajniej banalne.

Grzech zawsze niszczy grzesznika.

W socjalizmie życie było życiopodobne.

Przed wielkością cierpienia stajemy zawsze w pełni swojej małości.

Dobro wymaga wysiłku.

Ludzie przemijają, pozostają ich czyny.

To, co najważniejsze, pies wyraża ciszą.

Sednem elegancji jest umiar.

Noc jest kameralną porą dnia.

Płatek śniegu to cała filozofia.

Trawa porasta wszystkie ludzkie wielkości.

Pierwowzorem witraży są skrzydła motyli i ważek?

Najczęściej ci, którzy wrzeszczą za tolerancją, są najmniej tolerancyjni.

Mądrość często nie idzie w parze z wiedzą.

Najtrudniejsze jest to, co najprostsze.

Wszystko poza Bogiem jest tymczasowe.

Jak nieobjętym dla mrówki jest wszechświat drzewa!

Słupy telefoniczne są gryfami skrzypiec wiatru.

Z mojego okna widać krzyż górujący nad domami: miejski szpital.

Niech świecą serdeczne gwiazdy naszych okien.

Modlitwa jest najsensowniejszym działaniem.

Tak zwana zapobiegliwość jest w istocie objawem braku wiary.

Nie zachwykam się naturą, lecz dziełami Boga – niby to samo, a jakąż różnica.

Tak zwane przypadki są po prostu śladami Boga..

Każda macewa zwieńczona jest kloszem nieba.

Myszę, że wolnomyśliciel to po prostu człowiek wolno myślący. Nic więcej.

To, co nazywają postępowaniem, jest jedynie doskonaleniem narzędzi.

Obecnie mamy czasy fetyszyzacji narzędzi.

Sądzić z postępowania niektórych księży o Bogu, to tak jak sądzić z kondycji elektryków o burzy.

Ateizm to pomysł na świat bez Sensu.

Wieczorna modlitwa jest jak dziecinne uchylenie drzwi do pokoju rodziców, z którego bije ciepłe światło.

Ubliża się Bogu na wszelkie „naukowe” sposoby.

Tylko dobroć robi jeszcze na mnie wrażenie. Nic więcej.

Panie, który stworzyłeś arcydzieło dmuchawca i pióro ptaka, i moje oko. Który nakazałeś wędrować kretowi po moim ogrodzie, by burzył mój śmieszny porządek. Który gwałtownością wiatru rozczesujesz trawy i dźwigasz motyla, i koronę dębu. Który uśmiechasz się obłokiem w stawie przy pałacu i chlewie. Który zachwycasz mnie delikatnością kwitnącej łąki, śpiewem zięby i wspomnieniem jaskółki. Który mówisz mi „dzień dobry” przez wszystko, co mnie otacza. Bądź pochwalony.

Ortodoksyjność to przyjmowanie Słowa Bożego bez zastrzeżeń. Jak można mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia co do Słów Boga i mienić się katolikiem?

Otacza mnie cud codzienności.

Przez tysiąclecia zmieniała się tylko forma, nie sens.

Ratując drugiego człowieka ratujemy siebie.

Twoje serce wystukuje moje godziny.

Szatan jest perwersją.

Ewolucja? A jednak Dedal nie doczekał się skrzydlatych prawników.

Matematyka i ekonomia, nie mówiąc już o politologii, są naukami najmniej praktycznymi z perspektywy wieczności.

Pod każdym krzyżem stoi Matka Bolesna.

Płynę łódeczką żalu po morzu mojej dawnej głupoty.

Im większa mądrość, tym większy grzech.

Nie ulega wątpliwości, że ateizm jest religią. Bardzo smutną religią.

Cóż można dać większego człowiekowi nad drugiego człowieka?

Wszystko, co zwykle, jest niezwykle.

Niestety, zawsze potrafimy wythumaczyć sobie nasze własne draństwo.

Czasem siadam nad stawem mojej melancholii.

Wymyśliliśmy naukę, by uniezależnić się od Boga?

Śmierć jest woźną obwieszającą, że właśnie ukończyliśmy składanie najważniejszego egzaminu.

Krzyż to okno otwarte na wieczność, wyznaczające przestrzeń miłości.

Jak trudno sobie wyobrazić, że szyba jest w gruncie rzeczy z piasku.

Z oczywistości: święty Mikołaj chodził w szatach biskupich dlatego, że był biskupem.



Nie wystarczy znalezienie diamentu, trzeba go jeszcze umieć zmienić w brylant. Dopiero ten ma wartość. \*

Trwa Epoka Braku Honoru. \*

Tradycja porządkuje rzeczywistość. \*

Zboczenia uznano za normę, normę za zboczenie. Większość za mniejszość, a mniejszość za większość... Hokus pokus współczesnych czarowników. \*

Rany, które zadajemy innym, tak naprawdę zadajemy sobie. \*

Wyróżnikiem człowieczeństwa jest miłosierdzie. \*

Każde totalitarne draństwo zaczyna się od walki z katolicyzmem. Właśnie ciemna chmura dźwiga się z horyzontu. \*

Jabłko jest zwodnicze. Jego istotą nie jest smak ani wygląd. Niewielkie znaczenie ma także aromat. Sensem jabłka są pestki, które wypluwamy. I o to mu chodzi. \*

Przedmioty są często klamrami spinającymi epoki. Największą jednak jest słowo. Jedno „tak” spięło Niebo z Ziemią. \*

Już spełniają się najbardziej ponure przeczucia Michaldy: szukamy Ludzi wśród ludzi. \*

Jesień łagodzi wulgarność lata. \*

Socjalizm rzekomo lubił większość, liberalizm mniejszość. A chrześcijaństwo nieodmiennie kocha jednego człowieka. Każdego człowieka. \*

Św. Franciszek z Asyżu dowiódł, że Kościół można reformować w jednym tylko kierunku. Ścisłej ortodoksji. \*

Wyjątkowość kobiety rodzi się w mężczyźnie. \*

Jeszcze nie tak dawno życie skupiało się w kuchni. W bezpieczeństwie ciepłego pieca chlebowego i iskrzących fajerek. W zapachu gotujących się potraw. Wśród dobrych słów wypowiedzianych bez wysiłku. Przez gęsto zaparowane szyby zaglądały drzewa i bezkresna przestrzeń zza płotu. Czasem przychodził krasnoludek, sąsiad lub święty Mikołaj. Czasem dziadek zabierał nas na spacer po swojej młodości, a babka wciskała w spoconą dłoń pajdę razowego chleba posypanego cukrem i skropionego śmietaną. Na polach kołysały się lany makowych kwiatów a w konopiach łapało się szczygły... Jeszcze nie tak dawno świat był całkowicie zrozumiały. \*

X zamiast być człowiekiem – był urzędnikiem. Zamiast żyć – urzędował. \*

Trzeba uważać by Boży ogród, który jest w nas, nie stał się dżunglą, w której zaczniemy polować na samych siebie. \*

Ewolucja, czyli „naukowe” perpetuum mobile. \*

Poskręcani w sobie jak drzewo sykomory na pustyni siedzimy na nim czekając na Boga, który od dawna stoi pod tym drzewem. By się z Nim spotkać, wystarczy zejść z siebie. \*

W wigilijny wieczór mój pradziad zabębnił w okno swojego domu skostniałymi od mrozu palcami. \*

– Wejdźcie, dziadku – powiedziała prababka – Siądziecie z nami do wieczery. A z daleka to idziecie? \*

– Z Sybiru idę, Marysiu. \*

– Matko Boża Leżajska!... Franciszek?! \*

– No i doszedłem – westchnął pradziadek. \*

Dom kojarzył mi się zawsze z D.O.M. (Deo optimo maximo) – Bogu Najlepszem i Najwyższemu – jako szczególna forma naszego daru. Inna etymologia tego słowa do dzisiaj nie ma do mnie łatwego przystępu. \*

To, co nazywają strategią życia, to umiejętność wygrywania kompromisów. \*

Zawsze jakoś na swojej drodze spotyka się Boga. Czasem w formie Sprzą-  
taczki, niewielkiego Listonosza z wąsem. Kierowcy dalekobieżnego  
autobusu, który nie zatrzymuje się tam, gdzie chcemy. Pani, która nazy-  
wa siebie liderką czegoś tam, czego – sama nie wie. Małej Refleksji,  
Niepokojącej Choroby. Wreszcie zwykłego Liścia, który, jak się nam  
wydaje, spada nie w porę i gwałtownie odwraca nasze myśli.

\*  
Czy można powiedzieć, że jest się ziarnem swojego czasu?

\*  
Każda moja „wielkość” jest objawem mojej małości.

\*  
Telewizja: nadmiar niczego.

\*  
Ateista to człowiek, który siedzi z zamkniętymi uparcie oczyma i krzy-  
czy, że wokół niego niczego nie ma, bo on nic nie widzi.

\*  
Zauważam sinusoidę wibrującą przez epoki, tę specyficzną linię serca:  
żar średniowiecza gasi smutny ład renesansu. Radość baroku, chłód  
oświecenia. Romantyzm, nasza współczesność.

\*  
Co do postępu, to średniowiecze jest ewidentnym postępem wobec sta-  
rożytności. Renesans zaś – powrotem do przeszłości.

\*  
Jesteśmy krajem eksperymentalnym. W Polsce sprawdza się bez końca  
granice ludzkiej wytrzymałości.

\*  
Co do własności: ma się albo cały świat, albo niczego się nie ma.

\*  
Wrześniowa noc tka złote pajęczki gwiazd.

\*  
Do Europy czy Azji? A może wreszcie do Polski – do domu?

\*  
Wstaję rano i idąc przez mokry ogród w ogrodowych butach, rozsie-  
wam nasiona dmuchawców. Czy może być coś ważniejszego nad taką  
pracę?

\*  
Płacz kołatek w Wielki Czwartek... Tylko kołatek?

\*  
Ludzie od „bezpiecznego seksu” są naprawdę niebezpieczni.

Wielka pustka telewizyjnego wieczoru.

\*  
Cokolwiek by nam się wydawało, wszyscy idziemy w jedną stronę. Ku  
temu samemu miejscu. Do domu Ojca. To wcale nie tak daleko. Zaled-  
wie trochę lat.

\*  
Ofiarowany bochenek chleba trzeba obrysować sercem.

\*  
Z jednej strony ogłupiająca stadność totalitaryzmów. Z drugiej – otchłań  
samotności indywidualizmu. Środkiem prowadzi wąziutka ścieżka  
chrześcijaństwa.

\*  
Nie ode mnie pochodzi wiatr, który dmie w moje serce.

\*  
Na cały brud świata jest tylko jedno mydło – Chrystus.

\*  
Powierzchność hałasu i głębia ciszy.

\*  
Krzyż jest centralnym punktem świata. Każdy krzyż.

\*  
Sztuka jest metodą poznawania świata.

\*  
Podstawowym warunkiem wszelkiej twórczości jest rzeczywista jej  
potrzeba.

\*  
Ważniejsze od tego, kto nas skrzywdził, jest to, kogo myśmy skrzyw-  
dzili.

\*  
Gotyck zrodził się w modlitewnym złożeniu rąk.

\*  
Aż do przesady pamiętamy tych, którzy mogli nam pomóc, a nie po-  
mogli. Jaka szkoda, że nie tych, którym my mogliśmy.

\*  
Nie ma nic bardziej sensownego nad żdźbło trawy, pióro czy jabłko.

\*  
Jak łatwo zastępujemy Boga czymkolwiek.

\*  
To, że coś nazwaliśmy, wcale nie świadczy o rozumieniu tego czegoś.  
Wróbel jest dla nas ciągle taką samą zagadką jak ziarno pszenicy.

Nauka... A cóż przyjdzie punktowi na rysunku z ustalenia składu farby, z jakiej powstał, rodzaju papieru, na którym istnieje, jego struktury, faktury, ba, nawet z określenia swojej wielkości i położenia, skoro nie może ogarnąć całego rysunku a przede wszystkim jego sensu?

\*

Pułkownikowi Kuklińskiemu zarzuca się złamanie przysięgi na wierność PRL, a czemuż to nie wytyka się Pilsudskiemu złamania przysięgi na wierność Austrii?

\*

Profesjonalizm nie oznacza braku tworzenia gniotów, ale oznacza świadomość, że takie gnioły się tworzy.

\*

Znak czasu: „Wszyscy jesteśmy mężczyznami” – mówi reżyserka Anna Falicka.

\*

Test zwany życiem...

\*

Dawniej wierzyłem ludziom, potem sobie, teraz tylko Bogu.

\*

Są ludzie, którzy całe życie ciężko pracują rękami innych.

\*

Nadeszły czasy kultury podpasek. Jak na razie nieużywanych.

\*

Lucyferyczne światełko oświecenia.

\*

Gdyby nie przydarzył się nam sarmatyzm, już dawno nie istnielibyśmy jako naród.

\*

Oczywiście, że znam panaceum na wszystkie dolegliwości świata. To słowa Jezusa Chrystusa.

\*

Właściwie każdą oczywistość można zaciemnić tłumaczeniami.

\*

Nawet nie problem w tym, że ciągle nam wschodzą nowe gwiazdy. A w tym, że upoczywie nie chcą spadać te wygasłe.

\*

Kiedy wreszcie pójdziemy za Gwiazdą Betlejemską?

\*

Coraz lepiej mają się ci, którzy walczą o dobrobyt biedaków.







Obowiązek to przyjemność, której odebrano dobrowolność.

\*

Mamy sejm niemy, chociaż hałaśliwy.

\*

A jednak poziom życia nie mierzy się stopniem unowocześnienia domowej łazienki.

\*

Oczywistą głupotą jest nie troszczyć się o przyszłość. A naszą przyszłością jest wieczność.

\*

Wielu ludzi w swoim życiu nie doszło do niczego poza pieniędzmi.

\*

Oświecenie? Cóż, myślę, że to od tych uderzeń złotymi młoteczkami w pudrowane peruczki podczas zabijania wszy iskrzyło im w oczach i stąd to światełko.

\*

Są tacy, którzy uwierzyli w dżunglę życia, i chytrze zagryzają samych siebie.

\*

Zdaje się, że najbardziej poprawnie byłoby pomalować się na czarno, obrzezać, zacząć się uczyć historii Antarktydy, modlić na sposób Majów lub Czukczów i niezupełnie wiedzieć, gdzie leży Polska.

\*

Dzień Wszystkich Świętych to symfonia na światło i wiatr.

\*

Wydaje się, że coraz więcej dziedzin myśli ludzkiej ma swe źródła w szaleństwie. Szczególnie sztuka, która propaguje obraz człowieka do głębi poranionego. Jakby poranienie było nobilitacją, nie zaś tragedią.

\*

Arystokratyzm leży po przeciwnej stronie szali. Naprzeciwko chamstwa. I ma także w pogardzie wagę.

\*

Wiek XX: Tandetne idee. Jarmarczny czas. Nieprawdopodobne cierpienie.

\*

Cechą narodową Polaków jest także – wybaczenie. Świadczy o tym każdy podręcznik historii i nasza codzienność.

\*

Mam swój przystanek Woodstock, kiedy słucham śpiewu sikorki przełatującej przez wiosenną strugę lasu.

Niechętnie chwalimy innych, bo zagrażają naszemu wyobrażeniu o nas?

\*  
Świtem mgła sunie przy ziemi tak nisko, że kłosy traw płyną nad nią.  
Miotelki światła. Wachlarze wiatru.

\*  
Posłuchaj – rzekł dziadek – to jest tak: Ród, który wychodzi z cienia  
nieświadomości, w pierwszych pokoleniach zdobywa pieniądze, w na-  
stępnych władzę, potem oglądę, aż wreszcie dystans do swoich poczy-  
nań. Tak więc, by stać się człowiekiem, potrzeba sporo czasu.

\*  
Kobieca wyobraźnia zadaje kłam lustrum.

\*  
Poezja jest czułością dla świata.

\*  
Jedno, co od nas prawie zupełnie zależy, to nasza świętość.

\*  
W. zdobył wiedzę wystarczającą do rozwiązywania krzyżówek, ale nie  
do rozumienia czegokolwiek.

\*  
Jeśli chcesz naprawdę zobaczyć, zamknij oczy.

\*  
Bywa pozorowana praca, pozorowane uczucie, pozorowane życie. Te-  
atrzyk krasnoludka, maleńki taki.

\*  
Jak dzwonki sań na dalekiej pustej drodze odzywają się w nas czasem  
czyjeś dobre słowa.

\*  
Pozowanie na człowieka wolnego od wartości, w końcu od tych warto-  
ści niestety rzeczywiście uwalnia.

\*  
Euroentuzjastom: A niby dlaczego mam swój dom zamieniać w dom  
publiczny, choćby i w dobrym tego słowa znaczeniu?

\*  
W zamglonym listopadowym lesie oszronione wiechetki traw są jak  
rysunek wykonany przez Boga choinkową świeczką.

\*  
Czy to nie zastanawiające, że zachwyca nas najczęściej jednak to, co  
najmniej praktyczne?

Czasem zaskakuje nas wiosenny wiatr. Taki od pół. Wymiatający reszt-  
ki śniegu z sadów. Przepędzający chmury jak owce nad łąkami. Kąpia-  
cy się w świetlistym powietrzu. Gospodarny, ale i niebywale wolny; tą  
wolnością rodem z Wysp Towarzystwa.

\*  
Był czas, który mierzono pacierzami. Najlepszy dla Polski.

\*  
Nie wyrosliśmy z zasiewu Zadwórza, Monte Cassino, Warszawy...? Nie  
bije w nas serce Jurka Bitschana? Nie? Więc, po prostu już nas nie ma.

\*  
Trzeba uważać, by podczas oczyszczania myśli z rdzy tradycji, w coca-  
coli nie rozpuściło się także nasze serce.

\*  
Stachura udowodnił, do czego prowadzi stachuriada.

\*  
Nic bardziej niebezpiecznego dla nas niż semicki antysemityzm.

\*  
W każdym „ale” jest trucizna zwątpienia.

\*  
Jasna Góra – polskie światło nadziei.

\*  
Ech, żyło się tym artystom za socjalizmu...  
Ech, chodziło się w tych tam pochodach...  
Ech, kłaniało się wzajemnie...  
Artysta trybunie, trybuna artyście.  
Ech, słodziło się słodko słowami słodkimi...  
(Spluwało potem, gorzko, pokątnie?)  
Ale i dziś też nie jest najgorzej,  
Nie trzeba już nawet być artystą, żeby być artystą.

\*  
Uwierzmy słowu. Sztuka jest sztuczna.

\*  
Wiara i bycie wiernym uzupełniają się nawzajem.

\*  
Gdzie ma siedzibę Stowarzyszenie Ludzi Wrażliwych?

\*  
Coraz trudniej zrozumieć, czemu służy telewizyjny czas między rekla-  
mami.

Jak to się stało, że prostotę uznano za prostactwo, a komplikacje za osiągnięcie?

\*  
Samochwalenie się do złudzenia przypomina samogwałt. Taka sama samotność wyobraźni.

\*  
Wykształcenie nie nobilituje. Wykształcenie zobowiązuje.

\*  
Im większa wiedza, tym większa odpowiedzialność.

\*  
Każdej wiosny widzę obłoki ponawlekane na wiotkie gałązki brzoź, obserwuję wiewiórki wiatru bawiące się leszczynowymi frędzelkami. Jednak potem znowu się chmurzy i uderza białoszara zadymka i błędzi po ogrodach. Ale dzwonki sikor nie zmieniają swojej wielkanocnej tonacji i wiem, że lada chwila zakwitną fiołki, mimo tego, że trudno w to uwierzyć.

\*  
Wiara to eufemizm pewności.

\*  
Człowieczeństwo opiera się o serce, nie o paragraf.

\*  
Jak mogę gardzić kimś, kto po mnie sprząta? Już prędzej sobą, dlatego, że śmieję.

\*  
Gardzić człowiekiem, to właściwie gardzić Bogiem.

\*  
Niestety, zawsze wyżsi muszą się pochylać. To pierwsze prawo wyższości. A jeśli tego nie czynią, żyją w nierealnym świecie. „Obłoki w spodniach” – jak mawiał pewien facet, którego nazwisko wreszcie zapomniałem.

\*  
W końcu po żmudnym trudzie wędrówek ścieżkami rozumu wchodzi się w wiarę. I oddycha niezmierną przestrzenią spokoju, Teraz dopiero można iść szybciej.

\*  
Nauczanie jest przekazywaniem siebie.

\*  
Księgowi mają niewiele wspólnego z księgami.

W słowie „skarb” jest coś jadowitego.

\*  
Filantropia C. jest filantropią rybaka dokarmiającego ryby rosówkami nasadzonymi na haczyk.

\*  
Z mrocznych dziupli przepisów pohukują złowróźbnie księgowe.

\*  
Pokaż mi swoich uczniów, a powiem ci, kim jesteś.

\*  
Nie jestem rasistą, ale to nie powód, żebym udawał Murzyna.

\*  
Coś tak jakby z roku na rok coraz mniej było inteligencji w inteligencji naszej. Prawda?

\*  
Wszystko, co zwykle, jest niezwykle.

\*  
Przepraszam Panie, za lzy tych, którym kiedyś niefrasobliwie rozkopalem drogi.

\*  
Dla niektórych świętym jest wymysł, że nie ma świętości.

\*  
Gdybym mieszkał w Izraelu, nic nie zajmowałoby mnie bardziej niż sprawy Żydów.

\*  
Idę starą drogą do domu pradziadków, to znaczy donikąd, bo dawno już nikt w nim z rodziny nie mieszka. A jednak te same świerszcze z dzieciństwa wyskakują nad trawy, te same zapachy z pól uderzają we mnie. Witam się z kapliczką na rozstaju, tą, poza którą rozlewają się łąki. Teraz, gdy mam coś postanowić, często przychodzę do tej kapliczki, po której przecież nie ma już nawet śladu... lecz tym bardziej zaznacza się ona we mnie.

\*  
Stosunek przeciwprostokątnej do przyprostokątnej ma się tak, jak za prostokątna do boku ostrosłupa. – Twierdzenie Pitagorasa inaczej.

\*  
Skoro nie ma prawdy obiektywnej, mogę mieć wreszcie gdzieś pokrzykiwania Archimedesza.

\*  
Panie, ześlij na mnie Ducha Świętego, bym stał się wreszcie Twoją lampą.

Każdą ludzką głębię da się zasypać.  
\*

Muzyka Szopena to wiatr w zaroślach olchowych nad strumieniem, przesypane chmury nad ścierniskiem, mokre kaczeńce i uśmiechnięte gwiazdy rumianów... Lecz także dom. Dom przede wszystkim. Z rozspanymi wróblami nad oknem, z deszczem w rynnach, dobrym słowem na powitanie. I tym wszystkim, co nas czeka tuż za drzwiami, przez które już widać ciepły płomień kominka.  
\*

Kochać, to znaczy nie wyobrazić sobie świata bez Kogoś.  
\*

Znam wielu ludzi zadeszczonych w sobie.  
\*

Dzieci są lustrami swoich domów.  
\*

Z oczywistości: To świadomość określa byt.  
\*

Znam takich, których mają pieniądze.  
\*

Cierpienie jest ogniem, w którym spala się lub rozpala nienawiść, co zależy od stopnia miłości w nas.  
\*

Więc gdyby rzeczywiście mieli przetrwać jedynie najsilniejsi, to roiłoby się tutaj, mimo wszystko, od udoskonalonych erekziozaurów i takich tam innych.  
\*

Za łąki, za gwiazdy nad łąkami, za ptaki w drzewach. Za drogi bez końca i początku... przez piach, upał i cień lasu, przez brody w poprzek rzek... Za koraliki impromptu cis-moll rozsypane na tych drogach, także dla mnie... Dziękuję.  
\*

Zastanawia cisza starożytnych stadionów.  
\*

Ech, te głębie „izmów”. Uwierzysz. Nurkujesz. I – łamiesz kręgosłup.  
\*

Hitlerizm, socjalizm, liberalizm, to także sita oddzielające wielkość od plew.

„...O polski dach i polską broń...”

Tyle zaprzeczonych modłów. Tyle zmarnowanych wysłuchań.  
\*

Kartka bożonarodzeniowa Anno Domini 2010:  
Przerośnięty krasnoludek na sianku.  
\*

Znam naród samozwańczych jurorów.  
\*

Cóż za historia! Podobno, ze względu na ocieplanie się mórz, wymierają rafy koralowe itd... Nie ewoluują, lecz wymierają. No, no...  
\*

Jakby masochistycznie sami przydajemy ważności urzędom.  
\*

Współcześnie kicz stał się normą dobrego smaku.  
\*

Tylko poddając się Bogu można zwyciężyć.  
\*

Jakże często próbuje się teraz w szkołach odczytywać ze zrozumieniem teksty, które są bezrozumnie napisane.  
\*

Ażury drzew wycięte z mroku na tle gwiazdzonego nieba. Stoję i nie wiem, co bardziej podziwiać, dostojność topoli czy kilim utkany ze światła i nietoperzy?  
\*

Ruiny dworów są słupami milowymi PRL.  
\*

Ukoronowaniem „oświecenia” jest liberalizm Katarzyny II.  
\*

Przez całe lata nie widziałem roztopów. Zdarzały się oczywiście prawie co roku, lecz ich nie dostrzegałem. Miałem bowiem wiele, jak mi się zdawało, ważniejszych spraw niż spuszczenie wody z kałuży, czy bawienie się w chowanego z sikorką. Dopiero teraz, jak w dzieciństwie, widzę marszczoną wiatrem wodę, gdzie odbija się wiosna, w której pragnie się oplukać twarz.  
\*

Dziecko nie jest produktem ubocznym. Dziecko jest istotą rzeczy.  
\*

Miecz to zbezczeszczony krzyż.





Wybudowałeś sobie mnie, Panie. Swój dom. Lecz ja zajmuję się mymi ścianami tylko, kłopotę się o moje drzwi i okna, nawet o kominy... Hoduję swoje uprzedzenia i żale. Pielęgnuję urazy i zamyślenia nad nie wiadomo czym. Cierpię w leniwym zachwycie sobą... I nawet nie zauważyłem, że już od dawna usiłujesz we mnie zamieszkać.

\*  
Na kolanach można być tylko przed Bogiem.

\*  
Diabeł jeździ najnowszym modelem merca, znam jednak takiego, który porusza się rowerem.

\*  
Grzeczność nie jest oznaką słabości, wręcz przeciwnie.

\*  
Mamy teraz czasy wymiany sloganów.

\*  
Ech, to średniowiecze, ze swym mrokiem: łaźni parowych, klasztornych cel, w których przepisywano greckie i rzymskie teksty... Ze swą pienistą koronką kamiennych katedr... No i z tym oburzającym pomysłem, że coś nas może czekać po życiu, jakiś sąd... Doprawdy – obrzydliwe.

\*  
Czasem rozum schodzi o wiele poniżej głowy.

\*  
Widziałem dzisiaj zielono-złoty klejnot zwany jaszczurką.

\*  
Dokądkolwiek jedziesz, z kimkolwiek jedziesz, jedziesz do nikąd, jeśli nie znasz sensu swojej drogi.

\*  
Renesans, ale czego?

\*  
Tak naprawdę poznanie świata jest dla nas bez znaczenia.

\*  
Nie strzepuj śniegu z rękawiczek, trzymasz przecież marzenia chmur. Fundamentem wiary jest rozum właśnie. On zawsze prowadzi do Boga.

\*  
Poznałem wdzięczące się próchno...

\*  
Nauka jest w gruncie rzeczy mieszaniną poezji i magii.

\*  
Małżeństwo to także czas na poznanie historii innego człowieka.

Życie musi być modlitwą. Modlitwa – ofiarą, chociażby z mojego lenistwa.

\*  
Sztuka jest odbiciem sensu i celu epoki, w której powstaje.

\*  
Człowieczeństwa nie mierzy się ilością przyswojonej wiedzy.

\*  
Przykład myślenia jakobinów: król – facet w szkarłacie.

\*  
Jednym z przejawów mądrości jest rezygnacja z części informacji.

\*  
Prawdziwa mądrość nie polega na umiejscowieniu się pomiędzy. Mądrość jest skrajna.

\*  
Zło jest zbyt łatwe, by miało jakąkolwiek wartość.

\*  
Nie ma nic bardziej śmiesznego niż ludzka pycha.

\*  
Każdy ma szczęście na swoją miarę.

\*  
Najtrwalsze jest to, co ulotne.

\*  
Noc grudniowa: iskry gwiazd na czubkach sosnowych igieł.

\*  
Uczestniczymy w cudzie codzienności.

\*  
W każdym organizmie uderza zamysł konstrukcyjny. Szczególnie zadziwia mnie pomysł, że konstrukcja mogła powstać bez udziału Konstruktora. Toż to dopiero fantazja!

\*  
Sierpień, ogrodowe świerszcze słychać coraz bliżej domu. Tym bliżej im głębszy sierpień.

\*  
Na tle współczesnego ruchliwego, obojętnego miasta wyobrażam sobie Chrystusa niosącego ulicą krzyż... W najlepszym razie uznano by to za happening.

Kiedy w końcu wylezie się z męczącej koleiny, która ograniczała naszą wolę, w chwilę potem wpada się w podobną. Bo droga nadal ta sama. Trzeba mieć wiele determinacji, by machnąć wreszcie ręką na wygodę i pójść dalej szlakiem. Własnym szlakiem.

Szlak, to jest ścieżyna wytyczona obrzeżem wielkich spraw, a jednak, kto wie, czy nie prowadząca przez obszary największych emocji i przez największe przestrzenie osobistych odkryć. I tylko niewielu zna wyjątkową życzliwość spotkań na szlaku.

W każdym z nas czas osiada na swój własny sposób.

Podobno mury runęły, ale fundamenty mają się wyjątkowo dobrze.

Bywałem pyszny w swej pokorze.

Ze „Słownika przekrętów”: z „kocham cię” w „kocham się”.

Im mniej wiary, tym więcej teatru.

W telewizyjnym ogłupiaczu kolejny teledurniej.

Kościół – Ubezpieczalnia życia. Hasło: Ubezpiecz swoje życie – przyjmij Komunię Świętą.

Nawet nie wyobrażamy sobie, jak wielu jest dobrych ludzi.

Jak przerażająco szybko to, z czego zaśmiewaliśmy się przez całe lata stało się normą...

Niektórym kobiecość, bądź męskość, zawęży się do jednego tylko miejsca.

Chodzi o niewielkie „się”. Stwarzać i stwarzać się. Jest w nim cała różnica pomiędzy chrześcijaństwem a ewolucjonizmem. Między pokorą a pychą.

Często odwoływanie się do rozumu jest największą głupotą.

Dobrowolność jest najmniej zrozumiała dla wodzów.

Stało się Słowo. I oprócz słowa nic się nie stało. I była miłość do słów. I nienawiść do słów. Tak streszcza się historia świata.

Rumianek pachnie tak samo na gruzach greckich ołtarzy, jak i na narznanym nasypie kolejowym.

Pomyśleć, że nieledwie pół wieku temu większość Polaków nabożnie zęgnęła się przed kapliczkami, witała pochwaleniem Boga, całowała z czcią każdy spadły okruszek chleba, znając wartość daru. Nieodmiennie hołdowała także prawdomówności... Czy i dzisiaj Norwid chciałby powrócić „do tego kraju”? Żeby oglądać bociany? Wszak tylko one pozostały z pieśni...

Pomilczmy serdecznie, czasami.

A jednak to miłe wiedzieć, że jedyni w świecie mieliśmy skrzydlate wojsko.

Dla komunisty „my” zawsze znaczy „ja”.

O sobie w liczbie mnogiej mówią najczęściej opętani.

Metr ogrodu jest często naszą miarą krajobrazu.

Zimą gęsto bywało od sań... Oto początek nowoczesnej bajki.

Cuda są powszechne.

Chodzi cały czas o „Coś” poza zachwyty.

Trwa moda na niedoskonałość.

Zegarom dany jest czas do przesiania.

Jedynym oczywistym efektem cywilizacji pieniądza są śmiecie.

Zima to czas domowy.

Otwieram dzień. Wpuszczam światło przez krzyż okna.

\*

Libertyni -- bo w liberiach? Tak mi się coraz częściej wydaje. Bo, że to służący, to oczywiście; wystarczy poznać ich czyny, by wiedzieć na czyjej są służbie.

\*

Egzotyka jest dzisiaj to, co za mojego dzieciństwa było naturalne: lampa naftowa, puste drogi, wozy, sanie, konie, tabory cygańskie, bydło, nietoperze, jaskółki... i, przede wszystkim, zwyczajne życie domowe.

\*

W naturze nie ma bezcelowości, a na pytanie o porządek świata może odpowiedzieć chociażby Mendelejew. Chyba, że wierzymy w ewolucję pierwiastków.

\*

Jestem z epoki przedobrazkowej, z Czasów Słowa.

\*

Swastyka, to po prostu połamany krzyż; w pełnym tych słów znaczeniu.

\*

Palikot?... Cóż, jaka epoka, taki i trefniś.

\*

Głosa do ewolucjonizmu: jednak nawet kupa sama się nie zrobi. Lucyper przybiera czasem kształty świętego Franciszka i wygłasza kazania do sikorek.

\*

Po pierwsze: nie wstydzmy się być chrześcijanami i Polakami. Bądźmy sobą. To najtrudniejsze, prawda?

## Z KSIĘGI WIATRU

## POCZTYLION

- Jak to, to ty sobie myślisz, że w tym, co dzieje się na świecie, są rzeczy bardziej i mniej ważne? Tak? Na masz, wymyślił sobie na swoją miarę - fuknęła Babka. Gotowała właśnie obiad, zza którego świata nie widziała, zakończyła więc rzecz bardzo politycznie:

- A idźże, przyjrzyj się Nisbaumowi - mruknęła. - Może co i zrozumiesz. No idź. - I powróciła do garnków.

Nisbaum mieszkał w dawnym budynku poczty. Obszernym, drewnianym, z przeszkloną werandą, jakie kiedyś były w modzie, porośłą zaniedbaną winoroślą. Aż tak, że trudno było spod niej dom rozpoznać. Starzec był emerytowanym poczmistrzem i mieszkał wraz z córką, o której mówiono, że nie jest jego. Może parę lat starsza od Tadeuszka, bardzo biała i bardzo czarnowłosa, godzinami przesiadywała przed werandą w ogrodowych kwiatach na inwalidzkim wózku, nie zamieniając słowa z nikim. Przesuwając jedynie ogromnymi oczyma po ogrodzie.

- Niuta, zjesz jabłko? - pytał Tadeuszek wyciągając ku niej w brunatnej dłoni równie brudne jabłko.

- Tak - mówiła bardzo poważnie, po czym wołała - Tato!

Wychodził wtedy mężczyzna chyba siedemdziesięcioletni o twarzy szlagona, z wysoko podgolonym karkiem, sumiastymi wąsami i nieodłączną wiśniówką w zębach.

- Dzień dobry panu - mówił Tadeuszek.

- Czego ty chcesz? - odpowiadał Nisbaum.

- Przyszedłem do Niuty.

- To ja wiem. Ale czego ty chcesz?... Może złota i srebro - dodał kiedyś i nagle się uśmiechnął.

- Właśnie tak - odpowiadał przekornie Tadeuszek, kiedy już odrobinę przestał się bać starca.

- To ja wiem - potakiwał Nisbaum - Ludziom nic więcej nie potrzeba. - Następnie brał jabłko od Niuty, wchodził do domu, po czym wracał z umyтым owocem.

Opowiadano, że kiedyś, dawno temu, gdy powoził furgonem pocztowym, napadnięto go w niedalekim młodniku i zabrano wszystko, co wiozł, a była to miesięczna wypłata dla pracowników nowopowstałej właśnie cukrowni w niedalekim miasteczku. Pierwszy i ostatni raz, jak dotąd, wydarzyło się coś takiego w tych stronach. Napastników oczy-

wicie nie odnaleziono, a całą winę za zajście zrzucano dla wygody na niego.

- To nie jest nic nowego, nic - mówił podając czyste już jabłko dziewczynce.

Urzekały dłonie Niuty, z palcami jak subtelny batikowy rysunek. W ogóle Niuta mówiła palcami. Bardzo oszczędnym, jakby mimowolnym gestem. Czasem dla podkreślenia wyrazu dodawała obraz oczu, ale zdarzało się to niezwykle rzadko, bowiem oczy jej były zwykle sennie nieobecne. Na drażniącą ją rzeczywistość reagowały dłonie i palce. Jeśli zdarzyło się właśnie, że chowała je pod zwykle na siebie narzucony pled, należało odejść. Nim jednak zrozumiał to Tadeuszek, popełnił szereg bolesnych nietaktów. Zanim też nauczył się współmilczeć z Nisbaumem, wypytywał i perorował, na co poczmistrz odpowiadał swoim nieodmiennie głębokim: „To ja wiem”.

- Ale ja pana bardzo lubię - wyrwało się kiedyś Tadeuszkowi.

- Wiesz, ty mnie tu nie przychodź więcej - sposepniał starzec. - Ty mnie burzysz porządek świata.

Co nie zmieniło oczywiście niczego w młodzieńczej bezczelności obyczajów Tadeuszka. Był zatem u Niuty następnego dnia.

- Znowu jesteś - powiedział Mosze Nisbaum z bólem. - Czy ty nie masz kogo innego męczyć? Czy ty musisz męczyć Nisbauma?

A Tadeuszek nie miał nic na swoje usprawiedliwienie nadto, że bardzo chciał być akurat właśnie tutaj.

- Ja powiem twojemu ojcu, że ty mnie gnębisz - powiedział bezradnie szlagon.

A potem siedzieli na stopniu werandy w gwarnej ciszy czerwcowego popołudnia.

- Ty mnie dasz wreszcie spokój? - pytał bez przekonania poczmistrz.

- Tak, proszę pana - zapewniał Tadeuszek, dodając zaraz z rozbrajającą głupotą - A pan to był na wojnie?

- Co tam na wojnie... ja byłem w piekle... - okropnie cicho powiedział Nisbaum.

- Jak to w piekle? - gorączkowo próbował pojąć chłopiec i nic mu z tego pojmwania nie wychodziło, poza przerażeniem związanymi z opowieściami matki o diabłach urzędujących w przydomowej drewnitni, a które okazały się w końcu wyliniałą kuną. - W jakim piekle? - szepnął.

- W największym, w ludzkim - odpowiedział Nisbaum.

Tadeuszek popatrzył w pobrużdżoną twarz starego i pochylił głowę w głębokim niezrozumieniu.

- Chcesz miodu, co? - dopytał Nisbaum po chwili.
- Miodu? - powtórzył bezprzytomnie Tadeuszek.
- No, jest pszczoła, jest ul, jest miód. Chcesz?
- Tak - zupełnie jak Niuta wykrztusił Tadeuszek.

Nisbaum wstał i niespiesznie poszedł ścieżynką między nierozkwitłymi aksamitkami poza dom. Tak, że Tadeuszkowi, który już trochę znał dawne opisy, wydawało się, że widzi właśnie część starej opowieści, i kiedy Nisbaum powrócił z plastrem pszczelim ociekającym złotą patoką, w każdym ruchu mężczyzny doszukiwał się czegoś znajomego.

- Masz - powiedział Nisbaum.

- Bardzo dziękuję panu - powiedział Tadeuszek i uśmiechnął się tak jak uśmiechał się do Babki.

- Ty wiesz, ty sobie już idź - westchnął Nisbaum. - Ty się popatrz na swoich kolegów, oni robią to, co potrzebne. Rozumiesz, co mówię?

- Rozumiem - szepnął Tadeuszek.

- A ty byś mógł co w domu pomóc. Może ty mógłbyś już nawet wody nanosić, bo tyś jest duży chłopiec. A tak po co tu przychodzisz?

- Nie wiem - powiedział Tadeuszek. - Naprawdę.

I nagle mały człowieczek wsunął swoją dłoń w dłoń dużego człowieka i ten zamknął ją w swojej.

## STÓŁ

- Tragedią jest tylko przeciwstawianie się swojemu losowi. Nic więcej - powiedziała babka.

- Nie! - krzyknął Tadeuszek.

Maj był właśnie nabrzmiaty zapachami i odcieniami kolorów. I w tym właśnie momencie czasu w niewielkiej gliniance, w kałuży właściwie, utopił się Jaś, szkolny kolega Tadeuszka. Nic nie było w Jasiu aż tak niepowszedniego, by cokolwiek zmieniło się teraz w rytmie dni Tadeuszka, jednak ta śmierć zupełnie go oszołomiła. Po pierwsze rzeczywiście można umrzeć; po drugie, nawet teraz; po trzecie, jest się wtedy nieskończenie i do końca straszliwie umarłym. - Jakże tak?

- Tak ma być - stwierdziła babka.

- Dlaczego? - nastawał Tadeuszek.

- Bo tak ma być - powtórzyła babka.

Tadeuszek pomyślał o tym wszystkim, co może dziać się jeszcze w maju, tak wyczekiwany po zbyt długiej zimie i o wakacjach, które już teraz na pewno ominą Jasia i znowu krzyknął:

- Po co? To nie jest sprawiedliwe!

Babka przystanąła i zamiotła spódnicą, aż posypały się kwiaty piaskowego maku.

- Boję się - wyszeptał Tadeuszek.

- A niby czego? - spytała babka. - Oprócz siebie - dodała z westchnieniem - naprawdę nie ma się czego bać.

W Tadeuszku jednak na długo zakorzenił się lęk przed możliwością niebycia Tadeuszkiem. A czym można byłoby być, gdyby się nim nie było?

- Boże mój, jak ty mnie, dziecko, męczysz - stęknęła babka. - Popatrz lepiej wieczorem na gwiazdy, tam może wczoraj rozbłysnął twój kolega.

- To potem będzie się gwiazdą? - dociekał Tadeuszek.

- No, a czemu nie? - skinęła głową babka. - Zawsze tak jest, jeśli człowiek jest tylko wystarczająco dobry, by sobie na to zasłużyć... Chciałby po to, by wyznaczać drogę do domu tym wszystkim pijakom - warknęła.

A dzień wcześniej dziadek upił się do nieprzytomności prawie, pogwarzając sobie z leśniczym o tym, czy są tu w pobliżu jenoty, czy też ich nie ma. („Jenot - co to w ogóle jest?” - pytała babka.)

- A źli? - męczył Tadeuszek - A źli, babciu?

- A czy ja wiem? - zastanawiała się babka. - No, którzy to niby są tacy źli?

Tadeuszek milczał chwilę.

- Staszek i Włodek - powiedział naraz zdecydowanie.

- Aha - parsknęła babka. - Ale ty jesteś oczywiście dobry.

- No ja... - zaczął Tadeuszek i długo potem nie odezwał się słowem.

- Więc sam widzisz, jak to jest - roześmiała się babka.

I takie to było wprowadzenie Tadeuszka w astronomię.

- Chodźże. No, chodź - pociągnęła go wreszcie. - Ani gwiazd w dzień, ani tym bardziej siebie teraz nie odnajdziesz. Zresztą jesteś jeszcze skowronkiem. Jak ten. Słyszysz go? Więc nim jesteś i dziękuj za to Bogu. No, chodź.

A szli właśnie z zamówieniem wykonania stołu do stolarza Mateusza. Jedyne tutaj zresztą stolarza, który dopiero co złożył trumnę dla Jasia.

- Ale jakże ty, babciu, teraz możesz myśleć o stole - powiedział z rozpaczą prawie chłopiec.

- Ojżeż, ty kochanie moje. - I babka zmierzwiła Tadeuszkowi fryzurę, którą bardzo długo wcześniej układała.

## RZECZ O SKARBACH

Szdarzali się oczywiście goście i babka emanowała wówczas wręcz rozkoszą. Jej podśpiewywania niosły się po całym domu. A było w nich wszystko, od „Szumu Prutu” przez „Orle powstań”, „Precz z tytułami”, po których przechodziła niespodzianie na placówkę pod Tobrukiem, bądź do Tyrolu lub do „Warszawianki”. I z całą pewnością nie było w tym śpiewie choćby nuty rzewności czy powagi, tym bardziej, że okraszała go przerywnikami w typie:

*A u naszej popadi, popadi  
Tri kutasy na zadi, na zadi.*

albo:

*I szoł sobi Fytyp, Fytyp,  
A jajcia mu - tytyp, tytyp.  
I szoł sobi lwan, lwan,  
A jajcia mu - bałam, bałam.*

Przede wszystkim rozstawiała stół, przecierała krzesła, a kiedy już rogi najmniejszych nawet serwetek przybrały właściwy kształt, wychodziła do ogródka po kwiaty, które odbierała motylom. Brodziła w nich i długo schodziło, nim wybrała któreś tak, by dopełniały zakładaną kompozycję potraw. Ale komosę preferowała, bo przecież Sala tak szczególnie lubi te „boćki”. Otrzępywała je potem z rosy i wszelkich żyjątek, i rozkładała w kryształowej wazie, albo wysmukłym flakonie, jeszcze po prababce Celinie. Potem wlewała wodę, tak jak wlewa się strumień słońca w łakę przez rozciętą wiatrem chmurę. Z pluskiem i migotaniem.

A ciotka Sala, choć miała już sporo lat, ciągle pachniała jeszcze wodami Karlsbadu, do których jeździła kiedyś.

- W ogóle bywała w świecie, nie to, co ja - mówiła babka, tamtego wieczoru, kiedy to zachorowała i Tadeuszek musiał z dziadkiem iść dzwonić po karetkę z budki dróżnika.

- Boże mój - szeptała - pewnie umrę, a tu tak daleko od ludzi. I czemuś ty mnie wywiózł tak daleko? - patrzyła z wyrzutem na dziadka, a on poprawiał okulary i chrząkał.

A świat ciotki był rzeczywiście szeroki: Wiedeń, Paryż, Bruksela... Wsiadała w pociąg kolei lwowskiej i jechała w ten świat. W dodatku opłaty pokrywała w całości ze swojej nauczycielskiej pensji.

- Dziś mógłby to wymyślić tylko Andersen - mruzczała babka.

- No popatrz, babciu, a ilu my rzeczy nie mamy - wyliczał jej kiedyś Tadeuszek. - Nawet porządnego scyzoryka nie mam, ani organków...

- Nie masz czegoś? Ano rozejrzyj się wokół. Zsumuj sobie, ile dostałeś. I ciepło pieca, i przeźroczystość szyb i kołędę wieczoru. I marcowy śpiew szpaka, kiedy jeszcze jest tak bardzo szaro. No i głodny nie jesteś przecież. To czego ci jeszcze potrzeba? - spytała babka.

Tu Tadeuszek tłumaczył długo, czego mu potrzeba, podając także przykłady już przez los obdarowanych.

- No i poza tym, sama tak, babciu, mówiłaś.

- Aa, tam - machnęła ręką babka - różne rzeczy czasem człowiek mówi.

- No ale, co to za skarby, nawet i te śpiewy szpaków, kiedy wszyscy je słyszą i wcale na nich nie poprzestają. Robią swoje, a ptaki swoje - uśmiechnął się Tadeuszek.

- Ach tak - pokiwała głową babka. - Mówisz, że wszyscy mają śpiew ptaka? Plamy słońca pod drzewem? Smak malinowego soku w ustach? A pewny jesteś? A nie myślisz czasem, że może oni już te skarby utracili?

- No jakże... Pewnie, że nie.

- Oho. Różnie z tym bywa... A wiesz ty, co to wróbel? - spytała nagle.

- Babciu - westchnął z wyrzutem Tadeuszek.

- No co to? - indagowała uparcie babka.

- Wróbel... to wróbel.

- Właśnie - sarknęła. - Woda to woda. Chmura to chmura. Słońce to słońce. Tak właśnie traci się skarby, nie dostrzegając własnego bogactwa.

Tu babka zasepiła się przez chwilę.

- A wyobrażasz ty sobie świat bez wróbla? - spytała

- Wróble muszą być - powiedział z przekonaniem Tadeuszek.

I odtąd zaczął przyglądać się uważniej kawkom, wróblom, soplom, żywicy wypływającej z pękniętego pnia wiśni. Ale scyzoryka jak nie miał, tak nie miał i nie mógł o tym zapomnieć.

- No, kupisz mi go wreszcie, czy nie? - nudził straszliwie babkę.

- Jak pojedziemy do miasta, to kupię.

- Ale kiedy, co? No kiedy, babciu?

- A pocałujże ty mnie wreszcie w lichtarz! - wyrwało się w końcu umęczonej babce i aż sobie usta z wrażenia zatkała dłonią posłyszawszy te słowa.

Wreszcie przyjeżdżała ciotka, jak wiosenny obłok

- Świat pędzi. Czy nie wydaje ci się, Kasiu, że świat pędzi jakby bez sensu? - pytała pijąc herbatę drobnymi łydkami. - Przystawia to, czego przystawiać nie potrzeba. Nie udoskonala a niszczy. Zbyt wiele zniszczył ostatnimi czasy. Wiatr, tej tam - historii, zwiewa wszystkie drobiazgi, pozornie niepotrzebne, jak jesienne liście. Szkopuł w tym, że ciągle nie nadchodzi wiosna i nie ma świeżej zieleni. Słyszysz się tylko niekończące się jej zapowiedzi. Mam już dość tej wiecznej zimy. W końcu nie jestem Eskimosem.

Chodziła potem po domu w różowym szlafroku, coś nuciła akompaniując sobie cichutko na fortepianie. Czytała książkę przy szeroko na kwietny dzień otwartych oknach. Wreszcie położyła ją na stole i stanęła w jednym. Zapatrzyła się w sad. Miodny i pachnący. Głowę oparła o dlonie i trwała tak, aż do zupełnego znudzenia się obserwującego ją Tadeuszka, bo było przede wszystkim zbyt cicho, tak że słyszał światło kładące się po meblach.

- A co ty robisz, ciociu? - nie wytrzymał w końcu.

- A tak sobie rozmawiamy z Panem Bogiem - szepnęła ciotka.



## TURŁO

(czyli rzecz o nieporozumieniach)

Tadeuszek i babka wracali właśnie załubkami z klasztoru Panny Marii. Sanna była wspaniała, choć dzień ciepły, przez narzucone na nogi koce nie czuć było chłodu. Tadeuszek wspominał kapliczkę z cudowną studzienką, odtwarzając obrazy niezwykłych napisów na jej ścianach, a babka opowiadała woźnicy o weselu zatopionym w jeziorze na Polesiu, które chcąc sobie skrócić drogę z kościoła do domu, pojechało w poprzek zamrożonej tafli i tak sobie tę drogę skróciło, że całe, z jakieś czternaście sań, wjechało pod lód. Nawet ostatnie nie dały rady zawrócić, bo pędziły z fasonem, a lód zbyt gwałtownie pękał.

– Co też to była za tragedia, mówię panu – kończyła babka.

Woźnica przytaknął ze zrozumieniem głową.

– A wie pani dziedziczka... – zaczął.

– No co też pan, panie Darzycki – spłoszyła się babka. – Jeszcze kto usłyszcy i będzie nieszczęście.

– Któż miałby posłyszec. Tu normalni ludzie... Ale przepraszam... Tfu! Ot, nastaly czasy...

– Niektórym teraz jednak dobrze...

– A którym?

– No, nie wiem... – westchnęła babka.

– I ja też nie znam... Podobno Sroka jest w milicji – dodał po chwili. – Ten zawsze był nic nie wart... O turło! – wykrzyknął nagle.

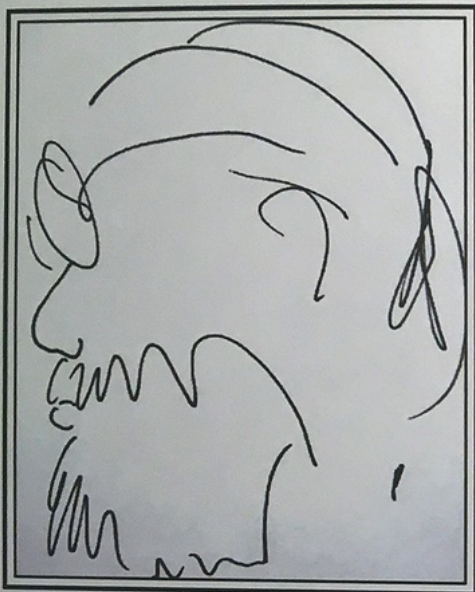
– Mimo wszystko mógłby się pan przy dziecku powstrzymać od takich słów! – zareagowała ostro babka.

– A co ja niby mówię? Ot, turło – powtórzył wskazując biczyskiem. Wokół nad stawkami i stawami przysiadły jak kury na grzędach domy Jarmołowiczów, Jamińskich, Darzyckich, Wierzbińskich... wtulone w śnieg i w wieczór. Ciepłe, serdeczne, oczekujące. A w największy ze stawów wbito mocny pal z nałożonym nań kołem od wozu, do którego na postronkach przywiązano kilka niewielkich sanek. Sanki kręciły się wśród pisków dzieciaków, a że nadciągał gęsty wieczór, więc na narzeźnych wierzbach pozawieszano latarnie, z jakimi chodziło się zwykle doglądać bydła. Niektóre z nich zresztą dzieci trzymały w rękach. Kręciły się więc wokół słupa i sanki, i światła, i śmiech.

– Toż to taka karuzela – powiedziała Babka.

– No toż mówię. Turło – przytaknął chłop.





Ryszard Sziler - artysta plastyk mieszkający w Kolbuszowej, urodził się w 1950 roku w Jarosławiu. Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Kańczudze studiował filologię polską na WSP w Rzeszowie i UJ w Krakowie. Pracował jako nauczyciel, a przez wiele lat zajmował stanowisko kierownika działu oświatowego Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej. Był także starszym instruktorem w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie.

Zajmuje się grafiką, malarstwem i literaturą. Od lat pisze wiersze i prozę. Jest autorem jednoaktowego dramatu „Spotkanie”. Oto, co mówi o swej twórczości: „Interesuje mnie natura, ale i twarz człowieka - mapa duszy. Maluję płótna w różnych technikach, od akrylu przez olej, grafikę aż do kolorowanych płaskorzeźb, a wszystko związane z naturą, z kontemplacją natury, tym wszystkim, co nas otacza. Najbliższa jest mi monotypia, bo najpełniej wyraża odczucia, refleksje. Zwykle moje prace są zapisem pamiętnikarskim wrażeń i przemyśleń, ale od pewnego czasu głównym przedmiotem moich zainteresowań są przede wszystkim obrazy o tematyce sakralnej. Najbardziej istotne są dla mnie ikony.”

- Na Polesiu całkiem to coś innego znaczyło. Całkiem - mruknęła babka. - A wie pan - zaczęła po chwili jakby do siebie - Miałam tam sąsiadkę. Poleszuczkę. Przedobrego człowieka... I dług wobec niej miałam. Wielki dług... Bo mnie wyleczyła z zapalenia stawów. Miałam wtedy dwadzieścia osiem lat i nikt z lekarzy w Brześciu nie dawał mi szansy na wyleczenie... Chodziłam już tylko o krzesło... Tylko... i to kiepsko... W końcu mąż zabrał mnie do domu, bo to całe leczenie nic nie dawało, a miałam malutkie dziecko, no a jak dziecko zostawić bez matki?...Więc wróciłam do domu. Oczywiście lepiej nie było. I wtedy przyszła sąsiadka. Przyglądnęła się mi, powzdychała. - A niech pani zrobi parówki z nafty - powiedziała. - Zaszкодzić nie zaszkodzi. - Pamiętam... balię, naftę laną na rozgrzane cegły i smród ciała opatulonego byle jakim prześcieradłem... I wielką ulgę po pewnym czasie... A potem pierwsze wyjście do ogrodu bez żadnej pomocy... Tak więc miałam wobec niej dług serdeczny. Tym bardziej mnie zabolalo to, co się zdarzyło... Przyszła kiedyś do mnie, od tak sobie, pod byle pretekstem, rozradowana jak zwykle. Powiedziała coś zabawnego, więc ja na to, ze śmiechem: - A żeby cię licho wzięło! - popatrzyła na mnie niedowierzająco i z chwili na chwilę coraz zimniej. Wreszcie odsunęła się ode mnie i syknęła:

- Szczob paniam łycho wzięło...

I wybiegła... Kiedy zrozumiałam, w czym rzecz, próbowałam tłumaczyć, przekonywać, że u nas słowo „licho” nic właściwie nie oznacza, że nie chciałam jej urazić i tak dalej, ale nigdy już nie udało mi się jej do końca przekonać... Nigdy.

- Ano, tak to jest, tak to już jest, pani... Pani... kierownikowo.

- Człowiek co innego mówi, a co innego rozumieją. Nawet jak żąb boli, co przecież każdy zna ten ból, to jednak nie rozumieją drugiego. Co dopiero w takich sprawach. Ja powiem pani taką rzecz. U mnie był stryj dróżnik. Porządne chłopisko. Żona mu pomarła i zostało po niej dwoje dzieciaków. Chłop jak to chłop, młody był, to mu furczało i szybko znalazł pocieszenie. Nawet nie najbrzydsze i nie najgorsze, ale bez serca dla jego maleństw. Nie żeby zaraz je głodziła czy męczyła, ale i też nie powiedziała im nigdy dobrego słowa, które przecież jest najważniejsze... Zawsze tylko ofuknęła, sarknęła, szturchnęła nawet... Aż któregoś razu te sieroty umyśliły sobie pójść do ojca nocą na kolej, bo właśnie miał służbę. No, bo gdzie niby niebożątka miały iść? Wzięły się za rączki i poszły torami przed siebie. Że ich co nie zabiło, to cud boski! Kolarze to znaleźli, wypyтали i odstawili do rodzica. Tymczasem w domu macocha poszła po coś do komory i zobaczyła siedzącą tam na

skrzyni kobietę w czerni. Całą jakby z czarnej mgły. Miała koronkową woalkę na twarzy, przez którą patrzyły na nią ze strasznym wyrzutem wielkie czarne oczy. Nic potem nie pamiętała, tylko te oczy pełne ogromnego bólu. Kiedy mąż wrócił z dziećmi, ustalili, że tak właśnie wyglądała w pogrzeb nieboszcza... No... i odtąd wszystko się zmieniło... – Stangret zamyślił się i zapalił wiśniówkę.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego z nieporozumieniami, o których rozmawialiśmy, panie Darzycki? – spytała niepewnie babka. – No, jakże nie ma? Czy nie jest nieporozumieniem takie niedobre życie?

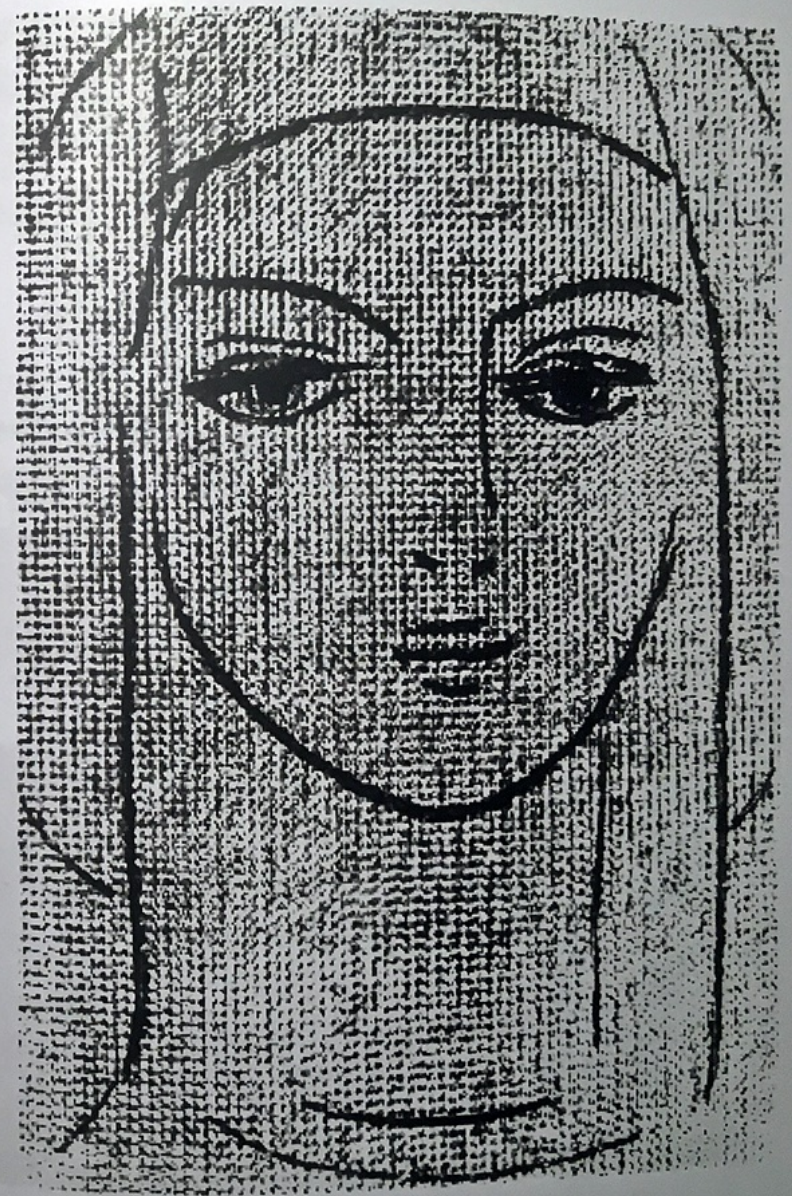
Długą chwilę potem konie szły w zupełnej ciszy.

– Prrrr! No tośmy i dzięki Bogu szczęśliwie dojechali – dopowiedział, zatrzymując konie przed schodami domu.

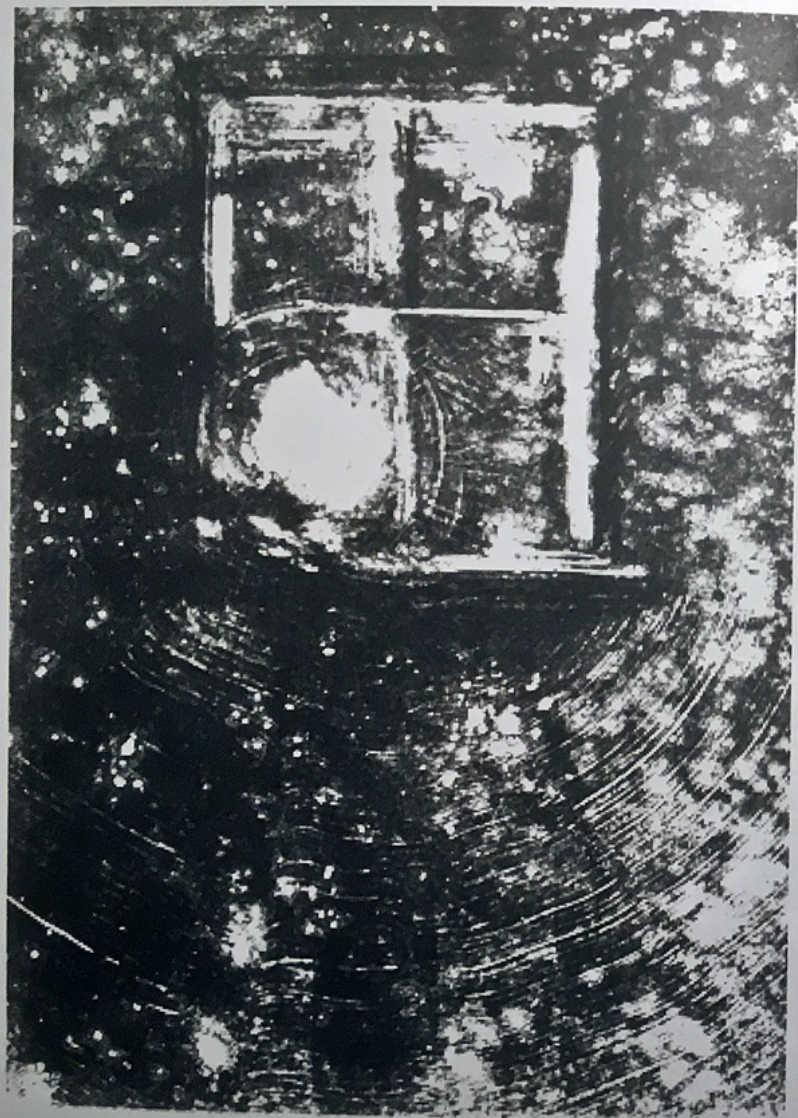
(...) Tego wieczoru rozkojarzona i umęczona całym dniem babka, klękając do wieczornego pacierza, przeżegnała się z rozmachem i powiedziała mechanicznie: Raz, dwa, trzy... A przy – cztery – z bezgranicznym zdumieniem plasnęła się dłonią w usta...

## KLUCZE

Tadeuszek wyszedł zza rogu domu i zdębiał. Przed schodami babka grała sama z sobą w klasy, rzucając przed siebie pudełko po paście do butów. Była tym tak zajęta, że go nie zauważyła. Dopiero, gdy podskoczyła w półobrocie, dostrzegła go, zarumieniła się i prysnęła naraz zaraźliwym śmiechem. – Ale dziadkowi nie mów – przykazała. – Kto wie, co by mu tam do głowy przyszło. – Potem podniosła z ziemi wpółtwarde pudełko i nim domknęła, przybliżyła do nosa. – Mmm... – westchnęła. A na pytajniki w oczach Tadeusza szepnęła – Oj, żebyś ty wiedział, jakimi doskonałymi kluczami są zapachy. – Kluczami? – zadziwił się Tadeuszek. – Otwierają drzwi przeszłości. W tym na przykład jest prześliczny sierpniowy poranek. I ganek nieistniejącego domu, margarytki przed gankiem i oficerki mojego ojca, które wtedy cierpliwie czyściłam... chociaż już dawno byłam mężatką. – powiedziała babka i uśmiechnęła się do siebie. – „Pasta kiwi but ożywi” – dodała ni stąd ni zowąd i wzruszyła ramionami, ale zaraz roześmiała się do swoich myśli i wśród śmiechu wykrztusiła: – Albo to... „Przeczyszcza nie przerywając snu”. Cha... cha... cha... No, to było przednie! – O czym ty, babciu, mówisz? – O reklamach, dziecko. Kiedyś reklamowano różności – spoważniała nagle – Teraz tylko socjalizm. Niestety – dodała i rozglądnęła się niepewnie, bo za takie – „niestety” chwilę wcześniej można się było witać w try miga z białymi misiami albo jeszcze i co gorszego mogło się przydarzyć. – Tak, tak, jestem już starą klucznicą. I mam trochę kluczy do świata – zamyśliła się. – Niektóre chciałam powyrzucać, ale się nie dadzą. Właściwie wszystko może być kluczem... Wszystko – westchnęła boleśnie.







Z KSIĘGI  
SŁÓW PRZYGODNYCH

## Terapia

Medycznie

Magicznie

Psychofizycznie

Gastrycznie

Mistycznie

No ślicznie

I na kozetce

I pod

I przy

I pani na mnie popatrzy

Ach ty

I tak

I na wznak

O tak

I z kulki

I z kart

No fart

I ręce na

I strzepnąć

I już

Tylko kurz

A potem

To samo

To samo?

To samo

Niekoniecznie

Nie nie nie

Ooomamooooo !

## Świat

W sierpniowe popołudnia  
Z dachu drewni układałem w pianie obłoków  
Sady i parki po których przemykała  
Cienista tajemnica

Słodziłem wino bławatne trzmielim miodem  
Wysysanym z brązowych  
Papierowych baryłek wykopywanych spod darni

Wierzyłem że zagubione królowe pszczół  
Przez zapatrzenie w jaskry zmieniają się w złotooki  
A każda stróżka wody spod marcowego śniegu  
Spływa do przepastnych podziemnych jezior  
Których szum słyszą czasem bardzo starzy ludzie

Jesieniami w baliach budowałem wyspy Robinsona  
Oblane wyobraźnią po niewiadomy horyzont  
Żyły na nich fauny i Calineczki  
Pasły się złotorunne myśli we więdnących trawach

Wędrowałem tam boso w aksamitnym pyle dróg  
W tkających świerszczach  
Niespiesznie  
Z krajobrazu w krajobraz  
Z przemyślenia w przemyślenie  
Z marzenia w marzenie

Pielgrzymuję teraz do nich  
Przez zaspy pamięci  
Mozolnie odkopując zasypany świat

xxx

Robię zapasy jak wiewiórka.  
Upuszczam nierozważnie godziny i minuty  
sądząc, że zachowuję.

Wygrzebuję potem spod śniegu lat  
przełoczone pamięcią gorzkie orzechy czasu.  
Pachną Wielką Puentą kiedyś codzienną.

Widzę jej ślady w starych zeszytach,  
smaku pestek słonecznika w zagięciu kieszeni,  
w słonym deszczu na wargach.

Przez zawieję myśli wypatruję siebie.  
Znowu z pierwszą gwiazdką na rękawie.







xxx

Babcia Zofia  
Chodziła po łąkach  
Cicha jak obłok.  
Odmawiała różaniec  
Na sznurach jaskółek.  
Przysiadła na miedzy  
Dla rozmów z pasikonikami.  
Przytulała cały świat  
Do siebie.

Wszystko z nią było dobre  
I dzień dobry  
I dobry wieczór  
I dobra noc

Z kroniki „Wojny Światów”

*Z* za barykady gadżetów  
bełkoczą w obcych językach  
Ciskają ogryzionymi kośćmi słów  
w orla lecącego ku Światłu.

Brzęczą samochodami i garnkami.  
Pryskają humorem jak przypalonym tłuszczem.  
Ich mennice stukają bez przerwy  
i mają już wszystko.  
Poza mną.

Smoleńsk

*J*aki los przypadł nam...

Krople rosy  
Skapują jak łzy  
Z resztek brzoź  
z resztek samolotu  
Z uludy wolności  
z pamięci  
z nadziei  
z miłości  
z marzeń

Jak kiedyś

Tak samo  
Tak samo  
Tak  
jak łzy

Cisza  
Że strach takiej ciszy

Nagle

Błysk w myślach

Że  
Znowu

*Rozkwitają pąki białych róż ...*

*....A wzdłuż drogi smoleńskiej  
Wciąż mgła i mgła i mgła  
Wzdłuż tej drogi na Smoleńsk  
tak gęsty stoi las...*

## Flamenco

*G*itara to miłość wiatru  
To powroty wiatru  
To ciągle powroty wiatru  
Do gitary  
I pewnie tym tylko jest gitara

Myślę, że nie ma gitary bez wiatru  
I oczywiście na przemian.  
Gitara – drzazga ze stołu Eola  
Ja tylko budzę ją  
Ja tylko łzami obmywam ją ze snu  
Nie wierzę do końca ani w sama gitarę  
Ani w wiatr  
Ponieważ jestem człowiekiem  
Wierzę w ludzi  
Otrzeputę serce z piasku myśli  
Wydobynam dźwięk bólu z wieków  
Słucham tęsknot  
Które nazywamy wiatrem  
Słucham bólu  
Który wskrzesza człowieka

Człowiek bowiem to miłość  
Aż do bólu  
To ciągle powroty bólu  
Ciągle powroty bólu i człowieka  
I pewnie tylko tym jest człowiek

## Kolbuszowa

*J*eszcze tu cienie puszczy wędrują nocami  
jeszcze łos się przedziera przez wyobraźnię myśliwych.  
jelenie parskają pijąc księżycową wodę ze studni  
w ryneczku jeszcze w obłokach odbijają się miraż  
stawideł i tartaków nilowych  
jeszcze czasem słycać żmudną pracę stolarzy  
czuć zapach suszonego drewna  
z którego składano bajkę drewnianych witraży  
czasem zielona przeszłość nadpływa nad szare dachy  
pachnie czerwcowym wieczornym storczykiem  
każe wierzyć że coś wielkiego może się przydarzyć  
kiedy przymknę oczy

Poezja jest czułością  
wobec świata  
i jest  
w ramionach krzyża,  
zdarza się  
w kobietach  
dzieciach  
i psich oczach.  
Podobno  
objawia się  
także pijanym,  
ale ci nie są  
potem  
tego pewni.

Są jednak chorzy,  
bardzo chorzy,  
którzy z natury swojej  
są czuli.  
Tych  
przekornie nazywają  
poetami  
a poezję  
cynicznie  
sztuką.

Piosenka zimowa [Oberżysta]

Łasypali drogi srebrem,  
Diamentami, gwiazdami, wronami.  
Powiedzieli, że jesień już przeszła,  
Przed chwilą, może dwiema chwilami.

Oberżysta jeszcze patrzył w dal  
Lecz miał w oczach horyzont deszczowy.  
Trochę chyba było mu żal  
Szeleszczących dukatów wrześniowych.

Hej, tam, panie...! – wysapał wreszcie –  
U mnie piwa jest trochę i siana,  
Będziesz mógł pan odpocząć nareszcie  
A i przespać się choćby do rana.

Córka z włosów wyczesze ci wiatr,  
Z nasion traw oczyści obcasy...  
Głupio, wiem, ale trzeba żyć,  
Nawet w takie srebrzyste czasy.

## Melancholia

Melancholio jesienna  
Jakże lubię ciebie  
Twe bizantyjskie złoto  
Drobnych popołudni  
I bezkresne obszary  
Deszczowych wieczorów  
Że potem prawie wszystko  
W śnie się zdarzyć może.

A dom już pachnie zimą  
Rybą i płomieniem  
Wystarczy drzwi zatrzasnąć  
Żeby wejść w tę miłość  
I tylko jeszcze szelest  
Kusi mnie za progiem  
Ostatnich złotych koni  
Co w horyzont biegną.

Już wiem co dała wiosna  
I lato minęło  
Choć pajęczyna słońca  
Liść czerwony trzyma  
Zamyka się go w dłoni  
Chucha: i nic nie ma  
I wtedy dom zostaje

Tak nastaje zima  
Z wielką Gwiazdą  
Na stole  
Przedwiecznego Słowa.

## Przez bagno

Przywędrowałem z tamtego brzegu.  
Może ostatni. Nie wiem.  
Wygladziło się sitowie.

Za mną:  
Nieokielznany galop przestrzeni.  
Groszki śmiechu pryskające  
z warg Kseni.  
Zgrzytliwy jęk liry.

Przede mną:  
Tylko wy.

\*\*\*

*H*istoria kołem uparcie się toczy,  
oś dziejów piszczy czasem głosem złym,  
a spod obręczy złota iskra skoczy –  
i bywa płomień, lecz najczęściej dym.

Dopiero taniec skończył się chocholi,  
krzepki nadziei łykaliśmy miód,  
lecz melancholia znowu przy nas stoi –  
i znów potrzebny nam kolejny cud.

Kity na czapach i pawie ogony,  
już oddajemy za powszedni chleb,  
a po modlitwach pozostał smak słony –  
i ogłupiały od marzenia łeb.

Echo pobudki jeszcze dzwoni nocą,  
aż stara szabla nad łóżkiem się skrzy...  
Lecz niepotrzebnie znów dłonie się pocą,  
bo tu niewielkie, już się miewa sny.

Zimy i wiosny i wiosny i zimy...  
Ostatni okruc w sakwie serca drży,  
tej głupiej wiary, że dokądś dążymy...  
że odnajdziemy... że to jednak my...

## Pannom z Wilka

*P*rzez serce na wskroś  
Przez życie na palcach  
Przez myśli  
Które czasem się uchylają

*Przez pola malowane  
Kapliczne śpiewania  
Czyjeś nagłe odjazdy  
Te bez pożegnania  
Przez to co zadławiło  
Przy pierwszym wyznaniu  
I co nas prześladowuje  
Już po niekochaniu*

Tamta ścieżką w hubinach  
Co znikła w sadzie  
Przyjść przez majowy wieczór  
I zastukać w szybę

W cichym szepcie na progu  
Znów smakować słowo

xxx

Za rzekę  
I po co za rzekę?  
Gdzie las przy macierzance wydeptanej pamięcią.  
Świt wstaje słono.  
Jaskrawe okamgnienie.  
I zaraz zapada dzień.  
Za las.  
Za czas.  
Za ból.

116

### Ostrzeżenie

Ne zagładaj do moich ogrodów  
Niebezpieczne są ogrody mych snów  
Tu cień serca czai się jak zwierzak  
Pragnąc dopaść twoich myśli znów.

Tu są kwiaty, lecz nie z twojej bajki  
Są motyle nie takie jak znasz  
I jest zapach niezapominajki,  
Ten, przed którym uciekłaś już raz.

Jest też zegar, co światło odmierza  
I nietoperz czasu na nim śpi.  
Nie zapomnij – jeśli nie dowierzasz –  
Pozostawić niedomkniętych drzwi...

117

## Spis treści

Z KSIĘGI SPRAW NAJWAŻNIEJSZYCH	
Hymn stworzenia .....	4
Chrześcijananie .....	5
Fragment niewyголоzonego kazania św. Franciszka .....	7
Litania .....	8
Madonna .....	10
Pani z Komorowa .....	11
Pytanie .....	13
Wdzięchność świata .....	14
Westchnienie do pieśni majowej .....	15
Prośba .....	16
Dziękuję .....	18
Z KSIĘGI WYPOMINKÓW HISTORYCZNYCH .....	
19	
Z KSIĘGI LAMPY NAFTOWEJ	
Opowieść domowa .....	32
Wieczór pierwszy (Kamień) .....	36
Wieczór trzeci (Płatek róży) .....	39
Wieczór czwarty (Zabawa) .....	42
Wieczór piąty (Dzwoneczek) .....	45
Wieczór szósty (Deszcz) .....	49
Wieczór siódmy (Historia maleńka taka) .....	52
Wieczór ósmy (Jurek) .....	55
Opowieść zimowa .....	59
Z KSIĘGI PIASKU .....	
63	
Z KSIĘGI WIATRU	
Pocztylion .....	88
Stół .....	91
Rzecz o skarbach .....	93
Turło .....	96
Klucze .....	99

## Z KSIĘGI SŁÓW PRZYGDODNYCH

Terapia .....	102
Świat .....	103
*** (Robię zapasy) .....	104
*** (Babcia Zofia) .....	105
Smoleńsk .....	107
Flamenco .....	108
Kolbuszowa .....	109
*** (Poezja jest czułością) .....	110
Piosenka zimowa (Oberżysta) .....	111
Melancholia .....	112
Przez bagno .....	113
*** (Historia kołem uparcie się toczy) .....	114
Pannom z Wilka .....	115
*** (Za rzekę) .....	116
Ostrzeżenie .....	117



©  
*Copyright by Ryszard Sziler*  
*Printed in Poland, 2013*  
*Wydanie pierwsze*  
*Wydawnictwo Miniatura*  
*30-307 Kraków, ul. Barska 13*  
*tel. 12-267-10-39*  
*www.miniatura.info.pl*  
*miniatura@autograf.pl*  
*Skład i druk w Miniaturze*  
*Oprawa introligatorska: Manufaktura Prima*

ISBN 978-83-7606-454-3



